



*Obywatelu! szanuj książkę,
zachowaj ją w najlepszym sta-
nie, oszczędzaj pracę twych
współobywateli, nie trwoń do-
bytku narodowego.*

*Robienie w książce poprawek
lub notatek, wyrywanie lub za-
lamywanie kart, tablic, rycin
i wogóle wszelkie uszkodzenia
surowo są wzbronione, a winni
będą zmuszeni własnym kosz-
tem doprowadzić książkę do
pierwotnego stanu względnie
zamienić ją na nowy egzemp-
larz lub zapłacić trzykrotną
jej wartość obiegową.*



Wm. S. G. 1851



2 884

IANEK

Syrokomli.



**Polska YMCA
Ogólno Księżowe
WILNO.**



WARSZAWA.

Skład główny w księgarni Borkowskiego i Karpowicza.

—
1897.

Дозволено цензурою. Г. Варшава, 15 февраля 1897 г.

ŻYCIORYS *).

Ludwik Władysław Kondratowicz, herbu Syrokomla, który to herb służył mu za pseudonim, urodził się dnia 17 (29) września 1823 r. we wsi Smolhowie na Polesiu; był zaś synem człowieka ubogiego, niegdyś geometry, później dzierżawcy w dobrach Radziwiłłowskich. Wykształcenie, rozpoczęte u ojców dominikanów w Nieświeżu, skończyło się na klasie piątej w szkole powiatowej nowogródzkiej. Ojciec, widząc małą zdolność syna do gospodarki wiejskiej, umieścił go (r. 1842) w biurze głównego zarządu dóbr Radziwiłłowskich, w Nieświeżu. Młody kancelista był nieśmiały, niezgrabny, lecz dowcipny i wesoły; pisał wiersze z nadzwyczajną łatwością, zjednał też sobie wkrótce miłość towarzyszków. Pokochał on równie biedną, jak sam, pannę, Mitraszewską; ożenił się niebawem (1844), dostał w dzierżawę maleńki folwark Radziwiłłowski nad Niemnem, Załucze, i zagospodarował się, jako posesor na małym kawałku ziemi—z żoną, a wkrótce i z dziećmi, których grono doszło do pięciorga. Zdawało się,

*) Według Spasowicza.

że człowiek ten zagrzebany już na zawsze w cichym zakątku, że niepodobieństwem było dlań wykształcić się tak, by mógł zostać chlubą naszej literatury. A jednak niepodobieństwo ziściło się: u dominikanów jeszcze Kondratowicz zapoznał się z łaciną; pracując w głównym zarządzie dóbr księcia Radziwiłła, tłumaczył wierszem poetów łacińsko-polskich, nadto zbadał przeszłość starej Polski tak, jak ją mało kto zna, bo z samych źródeł. Przez dziewięć lat pobytu w Załuczu Kondratowicz rozwinał swe siły umysłowe i zdobył wykształcenie, jeżeli nie zupełne, to jednakże pod pewnemi względami gruntowne. Okoliczności zmusiły go przenieść się do Wilna w r. 1853. Tu zamieszkał najprzód przy gwarnej ulicy Niemieckiej, później przy ulicy Botanicznej w domu Bobiatyńskich, gdzie i życie zakończył. Pierwszym jego drukowanym utworem był *Pocztylion* (1844); *Gawędy* i *Urodzony Jan Dęboróg* bardzo się podobały. W Wilnie Kondratowicz mógł otrzymywać książki i rady od kółka ludzi światłych a uczonych. Przyjaciele pomogli poecie wygodniej się urządzić: wzięto dlań w dzierżawę leżący o dwie mile od Wilna folwark Borejkowski, gdzie mógł dalej prowadzić ulubione swoje życie sielskie, lecz zarazem i obcować, niemal codziennie, z miastem. Borejkowski była jednak nieco zabliską Wilna sadybą: poetę najeżdżali i objadali znajomi, zabierając mu rzecz najdroższą — czas. Dzierżawa zaledwie wystarczała na przeżycie. Poeta nie narzekał jednak i sumę dzierżawną rokrocznie, zamiast sochą, wyorywał piórem... Ciężka to była, gorączkowa praca, coraz cięższa w miarę podu-

padania na zdrowiu i wzrastania kłopotów. Praca umysłowa nad siły i nadużycia wyniszczyły organizm i zrodziły skomplikowaną, nieuleczalną chorobę, która go szybko popychała do grobu. W r. 1859 pisał poeta: «solum mihi superest sepulcrum» («pozostaje mi tylko mogiła»). Od tego czasu aż do śmierci, która nastąpiła 15 września 1862 r. — przy świadomości zbliżającego się schyłku, nieopisanych cierpieniach i zupełnym braku środków na pierwsze potrzeby — Kondratowicz pisał rzeczy prześliczne, jaśniejące świeżością i siłą talentu: *Cupio dissolvi*, *Melodye z domu obłąkanych* z gorzko wesołym opisem własnego pogrzebu, *Śmierć słowika*, *Owidiusz na Polesiu*.

Kondratowicz jest prawdziwym słowikiem nadniemeńskim, piewcą z mocnym ogniem natchnienia, z głębokiem, gorącym uczuciem, a zarazem z niezwykle prostotą — bez wszelkiego patosu i napuszoneści; jest on nie tylko narodowym, ale i ludowym pisarzem umie stworzyć jedynie rzeczy powszednie, lecz z tak chwytającą za serce prawdą, iż staje się on przez to przyjacielem a mistrzem maluczkich i prostaczków. Przywiązanie swe do kraju rodzinnego oddał poeta wielokrotnie z uderzającą prawdą i siłą:

Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę,
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami...
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa
I wiatr tameczny rozpoznam płucami...

.

Chlebie! po twoim smaku i zapachu
Czuję z nad Niemna polankę borową,
Widzę kaplicę o słomianym dachu,
Słyszę jej dzwonek, jak brzęczy nad głową...



LIRNIK WIOSKOWY.

SIELANKA.

I.

Liro ty moja śpiewna! z czarodziejskiego drewna
 Snadź ciebie wyrobiono!
Skoro wezmę cię w ręce, gdy twą rączkę zakręcę,
 Zaraz mi kipi łono.
Czuję radość nieznana, jakby na sercu grano,
 I smutno, i wesoło;
Jam szczęśliwy, bogaty, gdy od chaty do chaty.
 Przechodzę całe sioło!
Z tobą się nie napieszczę: i dzień, i noc, i jeszcze...
 Jeszcze grałbym bez końca;
Aż mi się w piersiach warzy, aż mi do bladej twarzy
 Uderza krew gorąca.
Niech sobie boli ręka, niech sobie serce pęka,
 Przecię tonów nie zniżę;
Nie żałuję mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
 Skonam, grając na lirze!

II.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
 Niebezpieczneś narzędzie!
Jakby w piekle, jak w niebie, kto się dotknął do ciebie,
 Wiecznie pamiętać będzie!
Wnet go dumka uniesie, wnet sercu kochać chce się,
 I tęsknota ogarnie.

Tyś pokaraniem bożem! z tobą, jak z ostrym nożem,
Nie żartować bezkarnie.
Bo noże ciało bodą, a piosnka duszę młodą
Jakby ostrzem przenika;
A gorsza jeszcze bieda, że świat i wiary nie da,
Co tam w duszy lirnika.
Co oni wiedzieć mogą, że mi tak w piersiach błogo,
Że mnie tak chętka bodzie:
Grać od serca, grać wiele, Panu Bogu w kościele,
Dobrym ludziom w gospodzie;
Grać przed moją jedyną, niech ją piosnki obwiną,
Niech ją dźwiękiem otoczą,
Czy pracuje we żniwa, czy po pracy spoczywa,
Czy się bawi ochoczo.
Patrzcie na dziewę moją! przy niej chłopcy się roją...
Śmieszne, śmieszne ludziska!
Jeden wążem się chwali, drugi mieczem ze stali,
Trzeci srebrem polyska.
Mnie Bóg więcej przeznacza: znaj, co hardość śpiewacza!
Ja przed nikim nie zniżę
Ani pieśni, ni głowy, — hardy lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze!

III.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Wątle z tobą nadzieje!
Snadź twe piosnki niepiękne: czy przed Bogiem uklęknę,
Czy dla ludzi zapieję,
Tylko rozgwar twój znudzi Pana Boga i ludzi,
Serc braterskich nie zjedna;

Bo każdy z towarzyszy słyszy, jakby nie słyszy,
O doło moja biedna!
Kiedy czasem się zdarza, że u stopni ołtarza
Ku Bogu głos wyteżę,
Ksiądz na mnie patrzy gniewno, że muzykę cerkiewną
Smutnym tonem mitręzę.
Kiedy pójdę we święta, gdzie się bawią dziewczęta,
Młodzież i starcy w domu,
Klnę, że w piersi mi wrosło pieśnio-twórcze rzemiosło,
Lub zapłaczę kryjomu.
Dziewczę słucho lirnika, ale duszę zamyka,
Mnie się serce rozpada!
Ja pieśnią serca proszę, ona rzuci trzy grosze
I z innym płasza rada.
Starzec westchnie i powie: «Za mych czasów grajkowie
«Toć to grali dla duszy!
«Dzisiaj idzie w zawody jakiś młodzik bezbrody:
«Trąbić mu w róg pastuszy!»
I tak wszyscy zebrani, jeden chwali, ten gani, —
Kłaniam, kłaniam uprzejmie!
Otoż wielka mi łaska, że ktoś w dłonie zaklaska,
Ale serce odejmie!
Liro! próżnaś przynęty, strzaskaćby cię na szczęty,
Z ciebie ciernie i krzyże!
Lecz tyś promień mej głowy, wszak ja, lirnik wioskowy,
Skonam, grając na lirze!

IV.

Liro ty moja śpiewna, z czarodziejskiego drewna!
Ludzie łzami mię poją!

Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy mnie w grób położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie!
Zolbrzymieją me słowa,
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.
Kiedyś w okno sąsiada cudzych ludzi gromada
Ciekawie zakolata:
«Przyszliśmy patrzeć dziwa, gdzie wasz lirnik spoczywa,
«Lirnik głośny u świata.»
Wtedy z całego siola ciekawość lud wywoła,
I będą czynić wnioski,
Szeptać, ściskając plecy: «Zkąd ci ludzie dalecy
«Znają pieśni tej wioski?»
Wiosce chluba urasta: młodzian, dziewczę, niewiasta,
Przed ludźmi cudzej ziemi
Westchnieniem i gawędą słać lirnika będą,
Co śpiewał i żył z niemi.
I powiodą przybyszy do cmentarnej zaciszy,
Gdzie przy sośnie trzy krzyże,
I rzekną, wznosząc głowy: «Tu nasz lirnik wioskowy
«Skonał, grając na lirze.»



TO I DOSYĆ.

Dzień po dniu nad głową płynie,
Biegą chwile, biegą lata,
Wraz, przelotny gościu świata,
Legniesz w ciasnej domowinie.

Tam po niebios wysokości
Twój sierocy duch się zbłąka;
Tu w spróchniałe twoje kości
W pustej trumnie szczur zabrząka.

A po zgonie trup twój blady
Będą grześć ceremonialnie:
Ksiądz żalobną mowę palnie,
Anioł Pański zmówią dziady.

Ona z pięknym płaczem włoży
Czarną szatę, jak do balu;
Druh-poeta w dowód żalu
Na nagrobek wiersz ułoży.

Ot i wszystko twemu ciału!
Ziemskie pokryć ziemi bryłą.
Lecz gdzie myśl twa? duch zapалу?
O! to zgasło, jak nie było!

Pamięć myśli, pamięć ducha,
Pamięć szczęścia, lez powodzi, —
To nikogo nie obchodzi,
To najprędzej wiatr zadmucha.

Piosnko moja! w tobie tylko,
Co niebieskie, oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień mej śmierci i pogrzebu.

Będą ciebie w mnogim tłumie
Ci potępiać, ci wynosić;
Lecz się znajdzie, kto zrozumie,
Westchnie ze mną — to i dosyć.



CO UMIEM NAKREŚLIĆ.

Kiedy biorę ołówek (chęćka dzisiaj rzadka)
I, nie wiedząc co kreślić, błędne stawię kreski,
Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościółek wioskowy, lub dworek litewski.

Nic innego nie umiem kreślić na papierze,
Tylko to, com ukochał ॥ całej mojej duszy;
Co innego pragnąłem nauczyć się szczerze,
Chciałem kreślić gmach pański — ołówek się kruszy.

Bogdaj to wiejska chata! Tu prostemi sztrychy
Dach słomiany, bierwiona, okienka wywiode,
A w środku wyobrażam, że mieszka lud cichy:
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode;

Młodość, co kochać, wierzyć, spodziewać się umie,
Starość, co starych wspomnień wygrzebuje zgliszcze;
Oni serdecznych dumek nie zgubili w tłumie,
Choć im wicher przez szpary piosnkę nędzy świszcz.

Bogdaj to wiejski kościół! Dzwonnicę pochyłą,
Z dranic skleconą wieżę zrysować tak łatwo!

Wewnątrz księdza plebana wyobrażać miło,
Jak pszenne ziarno cnoty sieje między dziatwą.

Lub stary organista, gdy kantyczki złoży
I na pacierz wieczorny uroczyście dzwoni,
To słyszysz wyobraźnią, jak leci Duch Boży
W drganiu echa świętego po zielonej błoni.

Bogdaj szlachecki dworek z ogrodem, stodołą!
Sam zdaje się z pamięci pod ołówkę bieży
Dąb przed gankiem, co zwiesił pochylone czoło
Nad szczepy dębowemi chocimskich rycerzy.

Ot i wszystek mój talent wyczerpał się marny,
Nie mam z czego być kunsztem rysowniczym dumny...
Ot jeszcze umiem skreślić wiejski krzyż cmentarny,
Pod jakim chciałbym spocząć obok ojca trumny.



Krzyże wioskowe.

Dawnemi laty, w pocie swego czoła,
Mnich sprawy ludzkie na pergamin leje;
W mowie łacińskiej, w języku kościoła
Kreśli poważne, rodowite dzieje,
Aby pod świętych wyrazów osłoną
Pamięć praojców tem więcej uczczono.
Słowo, na kartę wpisane w ten sposób,
Nieodwołalnym wyrokiem się stało:
Był to i posąg uwieńczony chwałą,
I pręgierz hańby dla czasu i osób.

Polaka YMCA

Ognisko Kolojowe

WILNA

Takiem wspomnieniem gdy dziejopis wspomni,
Przeszłość na zawsze staje na widoku,
I rzadko kiedy od tego wyroku
Sąd odwołania wyrzekną potomni.

Swoje wspomnienia w postaci odmiennej
Pisze dla wnuków wieśniak niepiśmienny.
Gdzie mu mieć kartę? gdzie pióro i rylec?
A jednak w sercu potrzeba się budzi,
Aby syn własny lub obcy przybyłec
Znał dawne czasy i dawniejszych ludzi,
Aby na wieki zbawić od zatury,
Co się w tej wiosce trafiło przed laty.
Więc zamiast karty bierze grunt z pod wioski,
A zamiast pisma krzyż z drzewa wyciosa,
I cichych dziejów niezmazane głoski
Na tle błękitnem odbijają niebiosy.
A w wiosce nie brak zgryźbiałego dziada,
Który o kiju pod krzyż się przywlecze
I, byleś ciekaw, przechodni człowiecze,
Krzyża i wioski dzieje ci wygada.
Dziejopis umrze, pergamin zbutwieje,
Młodzi przestaną trudnić się łaciną;
Ale krzyżami zapisane dzieje
Z pamięci ludzkiej niełatwo zaginą.
Jeden krzyż zgnije, drugi się postawi,
Jeden dziad umrze, to drugi się zdarzy;
A młodzi zawsze powieści ciekawi,
Więc zawsze gotów słuchacz u bazarzy;
I takim kształtem powieść o rodzinie
Z krwią pokolenia w pokolenie płynie.

Czasem się zdarzy, ktoś z opowiadaczy
Dat nie pamięta, imię przeinaczy,
Więc słucha mędrzec i ramiony wzruszy:
Podanie pismu nie jest odpowiednie;
Śmieje się tedy i myśli w swej duszy:
«Brednie dziadowskie, nic więcej, niż brednie!»
Ach! to nie brednie, chwycone z ulicy!
Ręczy krzyż Pański, jako świadek niemy;
Lecz winneż dzieje, że my, piśmiennicy,
Prawdy w podaniu znaleźć nie umiemy?

Krzyż na swej niwie stawia kміeć ubogi,
Krzyżem swe imię niepiśmienny znaczy,
Krzyżem rozstajne rozchodzą się drogi,
W krzyż idą sakwy na piersi żebraczej,
Jęczym przybici na krzyż naszej doli,
Krzyżem nas żegna, krzyżem Bóg wyzwoli;
Krzyże stawiamy, by uczynić zadość
Pamiętce zmarłych drogich sercu braci,
W krzyżu nadzieja, łzy, i krew, i radość,
Krzyż nas podniesie i krzyż nas zatraci,
Przed krzyżem serce strapione się modli,
Jeden się zacni, a drugi upodli.

Czy na rozstajnej, czy na życia drodze,
Krzyżu Chrystusów, wszędzie cię znachodzę.
Tyś zawsze godłem, tyś życia obrazem!
Czy cierpi serce, czy szczęście nam służy,
Zawsze i wszędzie tyś jest drogowskazem,
Ażeby pielgrzym nie błądził w podróży.

A jeśli pielgrzym w obłądu godzinie
Krzyż Chrystusowy niebacznie pominie
I zamiast drogi manowce obierze,
I straszną przepaść znajdzie na uboczy;
To, byle sercem pożałował szczerze,
Znów, krzyżu Pański, staniesz mu przed oczy
I ojcowskiemi twojemi ramiony
Wskażesz błędnemu gościniec stracony.

Wielcy i mądrzy zapomnieli może,
Lub na krzyż Pański dziś patrzą inaczej;
Lecz prosty wieśniak każde swe rozdroże,
Każdą pamiątkę krzyżykami znaczy;
Każdą pamiątkę, choć tysiąc lat mija,
Krzyżem, jak gwoździem, do serca przybija.
Dziwne te krzyże, dziwne te mogiły,
Po naszej ziemi rozrzucone wszędzie!
Plemiona zmarły, wieki się zmieniły,
Lecz pamięć żyje i długo żyć będzie.
I gdy ci bajać pocznie dziad brodaty
O tym krzyżyku, o królowej Bonie,
Nie wierzysz w ścisłość historycznej daty,
Lecz sercem czujesz, że to prawdą wionie,
I bardziej trafi do twojego łona
Gawęda starca, niż książka uczona.



DO BOGA.

I.

Czy w wieńcu z globów, w słonecznej szacie,
Zasiadasz, Panie, w Twym Majestacie,
A tron Twój jasną otoczon tęczą,
A u stop chóry aniołów klęczą;
Czy Cię do łona tuli Marya,
Czy dziki grzesznik na krzyż przybija;
Czy w mojem sercu uśmierzasz burze,
Czy się objawiasz w pięknej naturze:
Wszędzie w Twą miłość ku światu wierzę,
Boga i ludu czytam przymierze.

II.

Wnet po potopie, wielki Jehowo,
Skreśleś łukiem wstęgę tęczową,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że przebaczyłeś zbrodnie tej ziemi.
Po naszych grzechach i zbrodniach wielu
Szedłeś nas zbawić, Odkupicielu!
Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę;
Ziemią dziewicę wziąłeś za matkę,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg się brata z synami ziemi.

III.

I jako człowiek w braterskiem kole,
Znosiłeś ludzkie dole, niedole;

W ubogiej szacie, pieszo i boso,
Z chaty do chaty kroki cię niosą.
I pozdrawiałeś jednemi słowy
Mędrce, książęta i rybołowy.
Rzekłeś do panów i biednej czerni:
— «Bądźcie pokorni i miłosierni,
«Miłujcie brzemię waszego krzyża,
«Będzie podwyższon, kto się poniża;
«Zdeptajcie węża dumy i pychy,
«Błogosławiony ubogi, cichy;
«Błogosławiony, kto się u świata
«Sprawiedliwości nie dokołata.»
Leczyłeś chorych w solimskim mieście,
Wskrzesałeś syna smutnej niewieście,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

IV.

Lecz hardzi mędracy w swej synagodze
Twojej nauki zlekli się srodze
I zawrzeszczeli: — «Zgroza! ohyda!
«Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
«On chce porównać gmin i bogaczy,
«Porównać mędrców i lud prostaczy.
«Biada nam możnym!... Próżna obawa:
«Ukarzem śmiałka na mocy prawa.»
Oto za miastem, między gór szczyty,
Bóg w środku łotrów na krzyż przybity;
Ranią go włócznią wśród zbiegowiska,
Krew z Jego serca na ziemię tryska,

Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że serce Boże złało się ziemi.

V.

Nie tońcie wiecznie we łzach boleści:
Bóg wskrzeszał dla was na dni czterdzieści,
A kiedy ziemską kończy się praca,
Na łono niebios znowu powraca;
Wraca w niebiosą własną osobą
I ciało człecze zabiera z sobą,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Pan ubóstwił lepiankę ziemi.

VI.

Człeku, uzacnion i spojon żywo
Z niebem i ziemią w jedno ogniwo!
Masz w niebie Ojca twym prośbom gwoli.
Gdy ci niedobrze, gdy serce boli,
Jeno jak dziecię uklęknąć trzeba,
Ręce na piersi, oczy do nieba,
I tak mu śmiało powiedz twe dzieje,
Niech się otwarcie dusza wyleje.

VII.

Krzywda nam, Ojczy! bo dłoń zelżywa
Ocuła usta, ręce skowywa;
Przyszliśmy w nędzę, w uragowisko,
Niebo wysoko — a piekło blisko;
A w sercach przedsię waśń i niezgoda,
Bliźni bliźniemu ręki nie poda...



Niepiśmienny.

GAWĘDA LUDOWA.



I.

Ja nie zazdrozczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na bożym świecie;

Jednego tylko zazdrozczę może,
Że wy, panowie, pisać umiecie.

Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!

Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemnem niebie!

Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,

Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumkę po dumce, słowo po słowie.

Spisałbym widok bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;

A teraz wszystko marnie ulata,
Bom nie uczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym najprzód pięknie sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy,

Kiedy zobaczę śliczną dziewczoję,
Albo aniołów o jasnej twarzy.

Spisałbym potem ptasząt słoweczka,
Ranne skowronka *Zdrowaś Marya*;

Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija;
Co mówi z wiatrem kłosisista niwa
Co ryczą woły, jak beczą stada,
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potem, mruczając, sam z sobą gada;
Jak kowal młotem bije w kowadło,
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny.
Wszystkoby wiernie spisać wypadło —
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

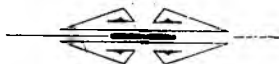
III.

Jakie rozkosze, jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę,
Karta zrozumie, piórko wypowie!
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że, i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym po prostu, jak serce puka,
Tak bym i pisał na białej karcie.
Pukania serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy, jakby mur ścienny...
Dumki - gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie chwycę — jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiejże panom, łatwiej żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze:

On swoje dumki na papier złowi,
A potem z ludźmi co chce dokaże.
Ja — daj mi piórko, naucz niem władać,—
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moją nędzę poczną powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnej zmiany
Książkę modlitew taką, jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany
Możeby leżkę uronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem pasę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennej!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze!
Toż to polecę, człek niepiśmienny.



POGRZEB MŁODEGO ROLNIKA.

S I E L A N K A.

Wczora, młody Łazarzu, śledząc wzrok twój pilno
I słysząc w zeschłych piersiach muzykę mogilną,
Tętno, co słabo kołata,
Kłamałem twej rodzinie, i tobie, i sobie,
Że cię ręka lekarza podźwignie w chorobie,
Że jeszcze wrócisz do świata.

Dzisiaj — w jodłowej trumnie leży trup młodzieńczy,
Matka, upadłszy na twarz, żałośliwie jęczy,
Głową o trumnę uderza;
Na ławie cudzy ludzie wzdychają przy czarce,
Wzdycha ojciec, że stracił pomoc w gospodarce,
A dzwonnik śpiewa z psalterza.

Promień rannej jutrzeńki do chaty się wciska
I, jakby dla zniewagi, dla urągowiska,
Twarz trupią oświeca jasnie.
Stosowniejsza dla ciebie, o biedny młodzianie,
Lampa, co krwią migoce na zczerniałej ścianie,
Buchnie... to znowu przygaśnie...

Biją w dzwonek cerkiewny... to już hasło znaczy,
Że skończona przy grobie robota kopaczy,
Już robak czeka w mogile!
Już przychodzi ksiądz z krzyżem... O, zaczekaj, księżel!
Nim ojciec czarne woły do wozu zaprzęże,
Zostaw nam gościa przez chwilę...

Zakolatała wieko wierna ręka cieśli,
Wóz słomą potrząsnęli i trumnę wynieśli,
Karawan chatę wymija.
Z żółtymi gromnicami, w uroczystej parze,
Śpiewając podchmieleni idą gospodarze,
Płacz niewiast niebo przebija.

Nawet wójt, choć twarz jego tak groźna i dzika,
Uszanował pokłonem trumnę nieboszczyka.
Młodzieńcze! straszno ci w grobie?

W obumarłych żrenicach Iza ci pewno stoi,
Żal sercu rzucać wioskę, gdzie cudzy i swoi
Tak rzewnie płaczą po tobie?

A jednak ja, przechodzień, co patrzę zdaleka,
Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
Jak mię pot zimny opływa:
To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
Do sianokosu i żniwa.

Bo twa ręka z siekierą była oswojona,
Bo już sochę dźwigały twe młode ramiona,
Już zdobywałeś kęs chleba!
Cóż za dziw, że rodzina, że wójt nawet czuły!
Bo się twoje ramiona z zaprzęgu wyzuły...
To żal nie taki, jak trzeba!...

Idzie młoda żniwiarka z zakwieconą głową...
Może westchnie... wyleje lezkę ukradkową,
Święte współczucie obudzi.
Gdzie tam! póki zaręczyn nie zapiją starzy,
Żadne się młode dziewczę kochać nie odważy —
Płakać po chłopcu... wstyd ludzi!

Ostrożna!... Gdyby świat ten nie był zimnym tyl
Smutnoby ci tak młodo zakostnieć w mogile,
Nie chciałbyś rzucać nas może;
Cierpiałbyś, jakbyś serce na połowę darto...
Ale teraz, poznawszy, że i życie niewarto,
Pokochasz grób twój, niebożę!

Przy mogile gromadki zbierają się tłumne —
Słysząc, jak garści piasku uderzają w trumnę,
Już spoczął w ziemi syn kmieci;
I kłodę położyli na jego kurhanie,
I dzwonek ostateczne zagrał pożegnanie:
Niech wieczna światłość mu świeci!

Wieczorem, wy umarli, niekiedy umiecie,
Wziąwszy postać upiora, błąkać się po świecie,
Odwiedzać rodzinne siola
I u lubego okna podsłuchiwać z cicha,
Czy rodzina pamięta, czy kochanka wzdycha,
Czy kto twe imię zawoła.

Nie chodź, młody upiorze, do lubej, do braci,
Bo ci się twa ciekawość boleśnie odpłaci!
Za miesiąc — obaczysz pono
Grób twój w zielsku, a imię w niepamięci ludzi.
Śpij twardo, póki Pan Bóg ze snu cię nie zbudzi,
Zapomnij przeszłość minioną.

S O S N A.

Na wioskowych mogiłach
Rosła sosna borowa,
Pień jej krzepnął na siłach,
Wybujala jej głowa.

Pogiętemi konary
Na sto sążni rozwisa,
A korzeńmi bez miary
Żółty piasek wysysa.
Z mogił wyrósłszy cała,
Za te soki, co bierze,
Z wiatrem sobie szumiała
Za umarłych pacierze.

Aż coś jednej jesieni
Biedna sosna borowa
Coraz mniej się zieleni,
I pożółkła jej głowa.
I została na stronie
Codzień cichsza, milcząca,
Každy wietrzyk, co wionie,
Więcej kolców z niej strąca,
Rzuca w ziemię rodzimą
Zeschłe szyszki i ziarna. . .
W końcu — jeszcze przed zimą —
Zeschła sosna cmentarna.

Wiatr żałośnie jej pyta:
— «Biedna sosno z mogiły!
«Czyś ty gromem przebita?
«Czy-ć robaki stoczyły?
«Czy ci żeru nie było
«W żółtym piasku z pobliska?
«Albo kamień swą bryłą
«Twe korzenie naciska?»

— «Och! mnie nie tknął grom z burzą
«I robaki nie toczą;
«Ziemia soków ma dużo
«I mnie karmi ochoczo;
«Gdzie kamienie i głązy,
«Szłam z korzeniami z daleka;
«Wrosłam—gorzej sto razy! —
«W trumnę złego człowieka!
«Trumna zgniła na próchno,
«Zgniły w piersiach mu błonki,
«W serce trupa leciuchno
«Zapuşciłam korzonki.
«Chłód mię przebiegł grobowy,
«Gdym possała zeń trocha;
«Bo to człek był takowy,
«Co nikogo nie kocha!
«Pierwsze z piersi swej soki
«Dał cmentarnej choinie;
«Czułam, że z tej opoki
«Brzydki we mnie jad płynie.
«Z jadem śmierci w mem łonie
«Byłam smutna, milcząca
«Každy wietrzyk, co wionie,
«Więcej kółców mi strąca.
«Próżno w ziemię rodziłam
«Nowe rzucać chcę ziarna. . .
«Ziarna zeschły — przed zimą
«Ginie sosna cmentarna!»



Gawęda o bocianie.

I.

Wiatr chłodno westchnął i mgłami kręci,
Zima już blisko, ej blisko!
Bocian poważny, stróż sianożęci,
Rozpuszcza skrzydła, tumani, męci
I zwolna płynie na rżysko.
Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży
I zamknął poważnie oko.
Snadź syn litewski marzy głęboko
O swej zamorskiej podróży.

II.

«Miłoś to lecieć w auzońską stronę,
«Miło coś widzieć i wiedzieć,
«A rozważając trudy minione,
«Plondrować Nilu brzegi zielone,
«Na piramidzie posiedzieć!
«Lecz, ach! wiadomo jednemu Bogu,
«Czy ujdę śmierci lub klęski?
«Czy wrócę jeszcze w kraj nadniemeński?
«Siądęż na kupie murogu?

III.

«O błonie Litwy! cudneż to błonie!
«Tu wszystko szczęściem rozmarzy;
«Słonko ciepłuchne, sianożęć wionie,
«Dziatwa klekoce, a tam na stronie
«Słyszać brząkanie kosarzy.

«Słodkoż tu było! — Bóg wie co dalej:

«Czy wracać będzie już po co?

»Może dąb z gniazdem zamieć obali,

«Lub kry wiosenne zgruchocą?!

IV.

«Lepiejby swemi czuwać oczyma

«W miejscu, gdzie szczęścia tak wiele;

«Lecz piersi czują, że idzie zima,

«Na żółtej łące już żeru niema,

«Za chwilę śnieg ją zaściele!»

I ptak, opiekun błoni ojczystej,

Wyprężył dziób swój czerwony,

Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty...

Uleciał w auzońskie strony.



NIEDZIELA.

Sielanka

Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

Macie cztery pieśni

Z niedzielnego dzionka.

Czasem głowa nie śni,

Co lira wybrząka.

Och! tak nienawistnie,

Och! tak brzmi niemilo,

Czasem w struny piśnie,

Jak po sercu piłą!

Lira odpowiada:

— «A pocóż mam duszę?

«Co mi wiatr nagada,

«To wybrząkać muszę.»

I. Poranek.

Spuściła się z góry

Święta niedziela,

Z za różowej chmury

Słońko wystrzela.

Wiatr kołysze kłoski

Zielonej niwy,

Lata w koło wioski

Anioł życzliwy

I łąkom, gdzie kwiatki,

Wieści udziela:

— «Radujcie się, dzieci,

«Dzisiaj niedziela!»

Trawka pełna rosy

Czeka na stada.

Ryczy w niebogłasy

Oborka rada.

Sute, dzięki Bogu,

Pastwisk obszary!

Trąbi w trąbkę z rogu

Pastuszek stary;

Za wsią sterczy z drzewa

Krzyż Zbawiciela,

Ptaszek na nim śpiewa:

«Dzisiaj niedziela!»

Przed Jankową chatą
Skrzypi kolasa;
Dziatwa, czując lato,
Po dworze hasa.
A Janek otwiera
Zamek śpichlerza,
Na targ się wybiera,
Żboże odmierza.
Już i żniwo blisko...
To go ośmiela
Jechać w targowisko,
Bo dziś niedziela!

Licha gospodarka:
Grosza potrzeba,
Nie zostało ziarnka
Na bochen chleba.
Żona niema soli,
Suszy mu głowę;
Drobną dziatwa woli
Książeczki nowe.
Toć to gościłami
Ich poobdziała!
Dzieci! Pan, Bóg z wami,
Dzisiaj niedziela!

Na wóz Janek wsiada,
Konia zacina;
Bieży za nim rąda
Dzieci drużyna.

Minął sielskie wrota,
Minął krzyż klusem...
A dziatwa szczebiota:
«Z Panem Jezusem!»
Mówią pięć pacierzy
Do Zbawiciela,
Modły idą szczerzej,
Bo dziś niedziela!

Gdy dzieci lży ronia,
Schyliwszy czoła,
Anioł Pański dzwonią
Z wieży kościoła;
A jak dzwon uderzy
Świętym wyrazem,
To i puhacz z wieży
Jęczy z nim razem.
Kto nocną brzydotę
Jęczeć ośmiela?
Świeci słońko złote,
Dzisiaj niedziela!

II. Powrót Janka z targowiska.

Jestem sobie podpily:
Jedna czarka dla siły,
Druga z ręki sąsiada,
Czy odmówić wypada?
Poszła trzecia i czwarta,
Ot zebrała się kwarta,
Ot i w głowie już świta,
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Na bok pany, bom pijany!
Wstyd wam mojej sukmany;
Lecz Jankowa sukmana
Nie bywała skalana.
Wy o waszej sajecie
Czyż to samo powiecie,
Kiedy Pan Bóg was spyta?
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Stoi karczma przy drodze,
Pyknąć lulkę zachodzę;
Człowiek węgle roznieca,
A tam szatan z za pieca
Daje znaki wciąż głową:
«Wypij! będzie ci zdrowo!»
Posłuchałem i kwita, —
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Krzycz czy nie krzycz tam, żono,
A jeść będziesz niesłono!
Niechaj cierpi nieboga!
Sól być musi za droga.
Coś mi z głowy wyleci
Kupić książkę dla dzieci:
Co tam dziecko wyczyta?
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Choćby umiał czytanie,
Toć chłop chłopem zostanie;
Sześć dni w pracy gnie szyję,
W siódmy dzień się upije.

Więc za przykład pokuty
Zdadzą chłopa w rekruty,
Kaprał pleców dopyta.
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Krzyż przy drodze... tu stanę...
Nogi chwieją się pijane...
Przebacz, Chryste! jam ciemny,
Bój z szatanem daremny!
Któż mi głowę oświeci?
Kto zapewni los dzieci?
Przyszłość ciemna, zakryta...
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Grzmi... błysnęło w oddali...
Piorun w sosnę gdzieś pali...
Czemuż karczmy oszczędza,
Z których grzech nasz i nędza?
Ej! urosło ich tyle,
Że aż dziesięć na milę,
Krwią płacimy ich myta...
Hej! pal, koniu, z kopyta!

Ot i wioska... snadź nasza;
Konia nęci już pasza,
Targnął wozem tak srodze,
Żem się zwałił na drodze.
Trudno powstać, bo ciemno,
A czart stoi nademną,
Klaszcze w dłonie i zgrzyta...
Koń sam pobiegł z kopyta.

III. Lament pana arendarza.

Janek!... śpił się, jak Bela...
Jak zabity śpi w rowie.
Prawda, dzisiaj niedziela!
Czarka, druga, na zdrowie.
Tobie zdrowia przybędzie,
Ja mieć będę grosz w zysku...
Lecz ty, zamiast w arendzie,
Śpił się na targowisku!
Tyś mi ukradł, co moje,
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czy nie złodziej? no, proszę!...
A ja z czego żyć będę?
Jan z kieszeni skradł grosze,
Przecież płacę arendę:
Tysiąc złotych gotówki,
Głowę cukru z napaści;
Muszę karmić dwie krówki,
Żonę, dzieci dwanaście;
Czyż ja poły okroję?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Konie, kozy, barany,
Sztuk dwadzieścia się zbierze...
I mam kontrakt pisany
Na kosztownym papierze.
Kontrakt pisze w tem słowie,
Węzłowato a krótko:
«Wszyscy moi chłopowie
«Tu upiją się wódką...»

Jak pijanych napoje?
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Pisze dalej tak srogo:
«Niechaj każdy pamięta,
«Nie wyjmując nikogo,
«Baby, chłopcy, dziewczęta,
«Żaden z chłopców, broń Boże,
«I to w żadnym już względzie,
«Pić gorzalki nie może,
«Tylko w swojej arendzie,
«Bo zapłaci we troje.»
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Czytaj, co tu pisano!
Lecz chłop głupi nie czyta...
Jadąc na targ dziś rano,
Miałeś miarki dwie żyta,
Miałeś jeszcze ćwierć grochu,
Warto złotych dwadzieścia...
Jużci, pijąc po trochu,
Mogłeś przepić coś w mieście,
Już ja o to nie stoję,
Choć to gwałty, rozboje!

Ale reszta... to znowu
Przepij u mnie na zgodę;
Ja wydzwignę cię z rowu
I do karczmy zawiodę.
Wstawaj, zbierz się na siły,
Pokaż kieszeń!... No, proszę...

Ach, ty chłopie opily!...
Ukradziono mu groszel
Toż ja liczył jak mojej
Gwałt, ratujcie, rozboje!

Nol... co robić? przygoda..
Jużby lepiej to przepić..
Mnie samemu cię szkoda,
Warto ducha pokrzepić.
Janek! Janek! ty słaby,
Wypij kwarty z połowę;
Nie idź do swojej baby:
Naturbuje ci głowę,
Ty jej oddasz za swoje,
Będą gwałty, rozboje!

IV. Wieczór.

Opuściwszy głowy,
Kwiatki już drzemią;
Wieczorek różowy
Pieści się z ziemią;
Słońce, nim zapłynie
Za chmurną ścianę,
Złotem wprzód owinie
Strzęchy słomiane:
Błyszczą ognie z chatek,
Kraży ~~lucyfer~~ biele:
Taki jest ostatek
Świętej niedzieli.

Powracają trzody...
Dzielne ich harce!
Pasterz siwobrody
Gra na fujarce.
Polny konik brzęczy
W podskoku chyżym.
A niewiasta jęczy,
Padłszy pod krzyżem.
Ej, jak cierpi srodze,
Ludzie widzieli;
Bolesny niebodze
Wieczór niedziel!

Skrzypek podchmielony
Na taniec zowie, —
Grzmia w kapliczce dzwony
Po czyjeś głowie...
Dziś mnie, jutro tobie,
Janku nieboże!
Dziś hulaleś sobie,
Przedawszy zboże:
A wieczorem czeka
Na mary wzięli...
Nie wie, kto doczeka
Przyszłej niedzieli.



ZWIERZYNA.

OBRAZEK Z MIASTA.

— «Strzelczel hej, panie strzelczel co chcesz za kwi-
[czoła?]

Na rynku małe chłopię tak na strzelca woła,
Dogania go z pośpiechem, a strzelec wąsaty
Popatrzał na twarz chłopca, na odzieży szmaty,
I pomruknał niechętnie:— «Ha, piękna mi sprzedaż!
«Co ja chcę, to chcę, malcze, ty mi pewno nie dasz.
«Dwa złotel... nie dla ciebie, to zwierzyna droga.»

— «Dwa złotel dobry strzelczel bój się Pana Boga,
«Mam dwuzłotkę, to prawda, lecz mi reszty trzeba,
«Idę kupić dla braci mleczywa i chleba,
«I zanieść do apteki ten przepis doktora,
«Bo widzisz, panie strzelcze, moja matka cnora.
«Na dzień dwie łyżki strawy za pokarm jedyny,
«Pan doktor kazał warzyć rosół ze zwierzyny,
«Mój ojciec stary cieśla — a my niebogaci,
«Przedaj mi za złotówkę, a Bóg ci dopłaci!»

— «Jak żyję, nie słyszałem—rzekł strzelec wesoły, —
«Aby pani cieślowna miała jeść kwiczoły.
«Na chorobę jest u mnie recept doskonały:
«Powiedz matce, niech palić kieliszek gorzały.
«Ja za złoty nie strzelam ptactwa dla biedaków,
«Nabój drożej kosztuje, nie licząc już klaków.»

— «Hej, strzelcze! zbliż się tutaj! co chcesz za kwi-
[czoła? —

Tak z błyszczącej kolaski jasny pan zawoła.

— «Pięć złotych, jasny panie... i groszy dwadzieścia;

«Teraz strasznie zwierzyna podróżowała w mieście,

«A wyszukać, a zabić, wielką miałem pracę.»

— «Strzelcze! ja ci półtora, ja ci dwa zapłacę,

«Oddaj mi!.. — mówił chłopak bolejącą mową, —

«Sam mówiłeś dwa złote!.. a gdzież twoje słowo?»

— «Czego chce ten ulicznik?» — rzecze pan z kolaski.

— «Łaski! wielmożny panie! proszę małej łaski!

«Pozwólcie mi u strzelca kupić tę zwierzynę,

«To mojej chorej matki lekarstwo jedyne,

«Doktor kazał!..»

— «Doprawdy! czy masz młynka w czubie?

«Uważasz, mój kochany! ja kwiczoły lubię,

«Teraz w jesieni tłuste, przewyborne jadlo!

«I bardzo mię to cieszy, że kupić wypadło.

«A wam na co kwiczoły? czy wy smak ich znacie?

«Oszczędność w waszym stanie, oszczędność, mój bracie!

«Dla chorej matki klejek... niech doktora spyta,

«Można trochę osolić, to rzecz wyśmienita,

«Zdrowa i niekosztowna... wyzdrowieje stara.»

To mówiąc, pan strzelcowi zapłacił talara.

Wziął kwiczoła i skinał swem pańskim obliczem,

Dziecię w płacz — stangret spojrzął i smagnął je biczem,

Kolaska się po bruku potoczyła żywą,

A strzelec do gospody wyruszył na piwo

A ubogie pacholę z dwuzłotówką w dłoni
Stoi, jak skamieniałe, i lży ciche roni.
Ostąpili je w koło uliczni krzykacze:
«Patrzajcie, jak on płacze... jak on śmiesznie płacze!»

~~~~~  
Coś w tydzień... na mogiłki trzy trumny przynieśli:  
W jednej leży w łachmanach biedna żona cieśli;  
W drugiej wasaty strzelec, co w podpilej dobie,  
Przypadkiem trącił w strzelbę i pierś strzaskał sobie;  
W trzeciej trumnie wspaniałą karawaną jedzie  
Pan, co kostką kwiczoła zdławił się w obiedzie.

Nędzarzy zakopali do ziemi koleją,  
Panu stroją katafalk i psalmy zaś pieją;  
A tam... w krainie duszy, archanioł już woła  
Przed najwyższy trybunał sprawę o kwiczoła.



## MELODYE Z DOMU OBLĄKANYCH.

—  
VI.

Śmieszne snuły się postacie  
W tej komnacie;  
Coś się miasto, coś wioszczyna  
Przypomina.  
Tam na kurzej nóżce chata  
Wichrowata;

Tam przymila się gospoda  
    Siwobroda;  
Pałac zerka na uboczu  
    We sto oczu;  
A kościółek skrzypi w stronie,  
    Gdy wiatr wionie.  
Na drewnianych szczudłach wsparty  
    Dach podarty;  
Ktoś założył tam kwieciarnię,  
    Mchy i darnie!  
Ludzie chodzą, gwarzą, siedzą  
    I nie wiedzą,  
Gdzie skierować senną postać:  
    Iść czy zostać?  
Tak śmiesznego nic na świecie  
    Nie znajdziecie.  
Dzwon szczerbaty kaszle z wieży:  
    «Do pacierzy!»  
Czterech dziadów w szmatach, boso,  
    Trumnę niosą;  
Cztery babki szpitalnice  
    Niosą świece,  
A na czele organista  
    Aż się chysta.  
Musiał zażyć dla zapalu  
    Kordyału,  
Bo z zapalem bierze tony  
    Antyfony.  
A gdy huknie: *Dies illa!*  
    *I Sybilla!*

*Requiescat* kiedy palnie  
Kapitalnie,  
To aż, czując radość błogą,  
Tupnie nogą.

Trumna prosta — a za trumną  
Niezbýt tłumno:  
Idą sobie ludzie prości  
Z ciekawości,  
Potem bieży tłum pacholi  
Dla swawoli:  
Dwóch przyjaciół nieboszczyka  
Z drogi zmyka,  
Mówią sobie: — «Szkoda, szkoda!  
«Dusza młoda!  
«Serce wulkan, co z ogniska  
«Lawą tryska!  
«Aż się samo własną siłą  
«Przepaliło.  
«I cóż teraz? — niech kto spyta:  
«Trup — i kwita!»

— «Po kim beczysz tak nieczysto,  
«Organisto?!  
«Trup, jak widać, i po zgonie  
«W dobrym tonie.  
«Musiał cierpieć — w ustach znaczny  
«Jęk rozpaczny.  
«Są na czole myśli znaki...  
«Kto to taki?»

Tak zapytał pan z natłoku  
Z szkiełkiem w oku.

Organista tak mu rzecze:

— «Ja nie beczę:

«Po łacinie śpiewam z nóty

«Psalm pokuty.

«A nieboszczvk. co widzicie,

«Steral życie:

«Po obłokach się kołysał,

«Wiersze pisał;

«Czytał w książkach w noc i we dnie

«Jakieś brednie;

«Dał każdemu wieść się w pole,

«Jak pacholę;

«A jeżeli rzec nawiasem,

«Plakał czasem.

«Krasawica sercu miła

«Go zdradziła;

«Przyjaciółom nic nie wierzy —

«Bo nieszczerzy;

«Wiersze zgryźli z dobrej chęci

«Recenzenci,

«A pokrewni gdzieś tam zdali

«Wieś zabrali!

«I tak szło mu nieciekawie

«W każdej sprawie.

«Wziął na rozum za głęboko,

«Spuścił oko,

«A jak w drodze spotka człeka,

«Precz ucieka.

«I poczęto mówić w mieście,  
    «Że nareszcie  
«W jego głowie — złe nadzieje,  
    «Kogut pieje!  
«Zachorował, była zima,  
    «Jeść nic niema!  
«Na kominku dogorywa  
    «Kłódka drzewa,  
«A on nie wie nic o świetle,  
    «Wiersze nłócie.  
«Albo jęczał jak w malignie,  
    «Gdy już stygnie:

— «Kiedyż w piasku głowę złożę?  
    «Mocny Boże!  
«Jam tak kochał. . . za co? za co  
    «Tak mi płacą!» —  
«Głodną śmiercią literata  
    «Zszedł ze świata;  
«My go musim grześć co prędzej  
    «Bez pieniędzy!!  
«A na świece do karbony?  
    «A za dzwony  
«Kto zapłaci? . . . czy bogaci  
    «Literaci!?  
«A, doprawdy, boli gardło  
    «Śpiewać darmo!...  
  
«Ha!... cóż począć?... Dziady, baby!  
    «Głos nasz słaby;

«Ej! hukniemy u mogiły  
«Z całej siły:  
«*Requiescat!* — daj mu, Panie,  
«Spoczywanie!  
» Wieczna światłość — krzyczcie dzieci —  
«Niech mu świeci!»



## *Korale.*

DUMKA KOZACKA.



Gdym z kozaki szedł na boje,  
Moja Hanna rzecze:  
«Niesiesz, luby, życie swoje  
«Pod tatarskie miecze!  
«Lecz modlitwa, płacz dziewczyny  
«W boju cię ocali;  
«Ty mi za to, mój jedyny,  
«Przywieź sznur korali.»

Bóg kozaczej szczęścił braci:  
W jednej boju chwili  
Han tatarski wojsko traci,  
A my gród zdobyli.  
Gdy wyparto krzepkie wrota,  
Gdy się miasto pali,

Inszy srebra, inszy złota,  
Jam szukał korali.  
Wśród rabunku los mi służy,  
Pan Bóg zdobycz poda:  
Sznur korali krasny, duży,  
Jakby wiśnia młoda!  
Pochwyciwszy zdobycz drogą,  
Już nie czekam dalej,  
Śpieszę stanąć przed niebogą,  
Dać jej sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią —  
Oj, daremna praca!  
W naszej wiosce dzwony dzwonią,  
Lud z mogilek wraca.  
Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie  
I wołają z dali:  
— «Twoja Hanna leży w trumnie,  
«Nie trzeba korali!»

Zapłakałem, zająknąłem  
I roztrącam rzesze,  
I przed cerkwią padam czołem,  
I przed obraz śpieszę.  
Do najświętszych stóp Maryi  
Niose smutne żale  
I zawieszam u Jej szyi  
Czerwone korale!



# KRUK.

PIOSNKA LITEWSKA.

Z po nad lasu, z po nad chmury,  
Na dolinę siola  
Kruk się spuścił czarnopióry,  
Na żer dziatwę woła.  
Ej! żerował gdzieś na grobie  
W pośród bojowiska:  
Krwawą rękę trzyma w dziobie,  
Na niej pierścień błyska!

—«Czarny kruku! z jakiej strony  
«Burza cię przywiała?  
«Zkąd ten pierścień pozłożony  
«I ta ręka biała?»  
—«Za górami, ej, dziewczyno,  
«Był tam bój nielada!  
«Krwii młodzieńczej rzeki płyną,  
«Głów tysiącem pada!

«Zakopuje lud roboczy  
«Bohaterskie głowy;  
«Na molojców orle oczy  
«Sypie żwir surowy.  
«Po kurhanach, jak kopacze,  
«Wyją wilków stada,  
«I nie jedna matka płacze,  
«Na grób pierśmi pada!»

Dziewczę jękiem pierś rozrywa,  
Twarz we dłonie chowa:  
—«Dolaż moja nieszczęśliwa!  
«Biednaż moja głowa!  
«Wiem już teraz, kto zabity,  
Czyja to dłoń biała:  
«Jam ten pierścień złotolity  
«Lubemu oddała!»



## DOLA.

WARYANT Z PIEŚNI LITEWSKIEJ.



W oczach ciemno, serce boli  
I zapłakać chce się!  
Pójdę hukać, ~~możę~~ doli  
Wywoływać w lesie.

Przyjmie chlebem, przyjmie solą  
W szczerej uprzejmości:  
Odezwij się, lepsza dolo,  
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa  
Wołam w lesnej ciszy;  
Ale słowa wiatr odwiewa,  
Dola nie posłyszeli!

Piosnko moja! ej, nie tobie  
Przebić wicher burzy!  
Wracaj jęczeć sama w sobie,  
Kędy serce wtórzy.



*N N N N N.*



Po nocnej rosie  
Płyn, dźwięczny głosie!  
Niech się twe echo rozszerzy,  
Gdzie nasza chatka,  
Gdzie stara matka  
Krząta się koło wieczerzy.

Jutro dzień święta,  
Niwa niezzęta  
Niechaj przez jutro dojrzewa;  
Niech wiatr swawolny,  
Niech konik polny,  
Niechaj skowronek tu śpiewa!

Blizko już, blisko  
Chatnie ognisko,  
Znużone serce weseli,  
Tam pracowita  
Matka mię spyta:  
— «Ileście w polu nażęli?»

— «Matko! jam młoda,  
«Ręk moich szkoda,  
«Szkoda na skwarze oblicza!  
«Źle szła robota,  
«Przeszkadza słota  
«I moja dumka dziewicza.»

~~~~~ ❦ ~~~~~  
D U M K A.



Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!
Bo nie weźmie nikt w opiekę,
Chyba z góry wskoczyć w rzekę.
Jużbym skończył dni te moje,
Lecz się kary boskiej boję;
Jużbym dawno zgnił w topieli,
Jużby ludzie zapomnieli.
U jednego dobra dola,
Bujne kłosy zbiera z pola:
Moja dola tylko mami,
Gdzieś się błąka za morzami.
Dobrze temu bogaczowi,
Co go wszyscy znać gotowi:
Gdy kto spotka mnie nędzarza,
To i na twarz nie uważa.
Bogatego, choć szkarada,
Otacza pochlebstw gromada:
Ja choć wzdycham do dziewoi,
Ze mnie tylko żarty stroi.

Czyż ja, dziewczę, niedość młody?
Czy mi pięknej brak urody?
Czy nie kocham cię z zapalem?
Czy ja z ciebie żartowałem?...
Kochaj sobie, kochaj śmiało,
Kogo serce twe wybrało;
Lecz poszanuj me kochanie,
Gdy ci kiedy w myślach stanie.
A ja pójdę w cudzą stronę
Jątrzyć serce rozżalone,
I tęsknotą serce palę,
Jako listek na upale.

Smutny kozak poszedł drogą,
Nie zostawił tu nikogo;
Szukał doli, co popieści,
I zaginął gdzieś bez wieści.
Umierając ludzi pyta,
Gdzie tam Boże słońko świta.
Och! nie znacie, och! nie wiecie,
Jak sierocie źle na świecie!



JANKO CMENTARNIK.

GAWĘDA LUDOWA.

W naszej wiosce za mych latek

Inszy bywał ruch:

I wesele, i dostatek,

Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni, czy to w wiosnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłosnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki, i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!..

Pójdę do nich: na mogile
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę
I pogwarzę słodko, mile,
Z ludźmi dawnych lat.



JANKO CMENTARNIK.

I.

Jak po nad grobem wśród nocnej pory
Błądzą ogniki i meteory,
Tak dni ubiegłe, dawne dni nasze,
Zawsze uroczy promień opasze.
Choć one były zwykłemi dniami,
Ludzie ci sami i tacy sami.
I świat, i człowiek jedną miał dolę,
Chmury na niebie, troski na czole;
Niekiedy jutrzni promień szeroki
Rozjasnił serce, przebił obłoki,
I znów się ukrył za gęste mgliska;
Z niebios deszcz pada, z oczu łza tryska,
I tak się ciągle miesza na ziemi,
Chwilka pogody z dniami tęsknemi;
A jednak promień przeszłości złoty
Każę zapomnieć chmur i tęsknoty;
Gdy w tamtą stronę myśli pobiega,
Rzewniej na sercu—Bóg wie dla czego!
Rok dawno zbiegły dziwne ma wdzięki!
Bo to rówieśnik naszej jutrzeńki;
A tamci ludzie dla tego mili,
Że w naszym życiu świadkami byli
Pierwszej pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
Ku niewidomym celom lecieli
Za motylami, to za kwiatkami.
Za wszystkim pięknem, co oko mamy,

Za wszystkim miłem, co serce pieści;
Nie tak jak dzisiaj, gdy syn boleści,
Zaznawszy świata, głowę schyliwszy,
Co chwila mędrszy i nieszczęśliwszy,
Obarczon ciężką sakwą podróży,
Gdy mu dawniejsza siła nie służy,
Krwawiąc się cierniem i ostrem zieleń,
Idzie do celu — a grób tym celem.

II.

Święta jutrzeńko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot taka sama i w każdym względzie,
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem i zkąd, i po co
Nad twem wspomnieniem światła migocą.
A przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,
Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem, i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,
Za temi dachy, gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściślej,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli..

Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,

Człek ciężko westchnie: Boże mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może,
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy...
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy;
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał, jak braci,
Musiały wzrosnąć w nowej postaci —
A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała w nich widzieć dawne konturna,
A one wzrosły, jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczej huczą kościelne dzwony:
Jeden rozbity, drugi zmieniony...
A twarze ludzkie — jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta,
Co było dzieckiem — w męża urasta,
Co było mężem — dzisiaj skroń siwa,
Co było starcem — w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudził
Coś znajomego, coś mi się roi...
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściej;

Głos męża silny, pełny słodczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!...
A sercaż ludzkie! jaka tam zmiana!
Widziałeś piękny zapal młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w tej głowie
Chłodna niewiara, straszne pustkowie!
Posłuchaj tylko: szydzi bluźnierca
Z dawniejszej wiary, z własnego serca...
Precz mi z tym czlekiem! ja go nie znałem!
A jam chciał wskrzesnąć jego zapalem!
A jego postać ileż to razy ,
Gdym w myślach kreślił przeszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo
Przelatywała nad moją głową!...
Szatan, nie człowiek!... za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodej przeszłości, szczęśliwszej chwili,
Źródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje!...

Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskrześnie!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość, ale z daleka.

III.

Jeśli ochota, słuchacze mili,
Dajcie mi ucho choć na pół chwili:
Starym zwyczajem, w kółku słuchaczy,
Powiem powiastkę, przygodę raczej,
Któram zasłyszał z ludzkiej pogłoski,
Prostą i rzewną — wiadomo z wioski.
Czyńcie co wola: śmieJCie się, płaczcie,
Dobre przyjmijcie, a złe przebaczcie.

IV.

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty,
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Hoży, wesoly, — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,
Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.

Więc wszyscy brata widzieli w Janku;
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakaś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczulkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.

I z tą miłością rodzonej ziemi
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawždy na sercu gracko,
Dole, niedole dzieląc gromadzką,
Żyć ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janek jak dziecko s płacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata.
On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żalobną pieśnią grzmi pod niebiosą,
A jeśli krewni niedość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.
Za to, gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy
Gromadzką radę tak mu do duszy.

On na weselach za družbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.
No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitwy przychodzi w lecie,
Zwłaszcza, że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała;
Więc cudzopaniec w dogodnej porze
Łakę przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową;
Groźba za groźbę, słowo za słowo,
Krzywda widoczna, a sprawa prędka,
To się i pobić przychodzi chętka.
No! różnie bywa: którejś niedzieli,
Ten się podchmieli, drugi podchmieli,
Słówko za słówko, krew silniej bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije.
A drugi, siedząc, niedługo duma,
Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! I z drugiej strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki, starym zwyczajem,
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.

Na taką grzmotnię, w lichej godzinie,
Niech-no się tylko Janek nawinie,
I rzutem oka niech-no wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada;
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu — wpada szalenie;

A słabej stronie dając pomoce,
Potężną ręką, jak cepem, grzmoce.
I póty grzmoce dalej a dalej,
Aż przeciwników na ziemię zwali,
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.
Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całej gromadzie.

V.

Takie pierwszeństwo nie idzie z rodu,
Ani go zjednać za kufel miodu;
Lecz trzeba kochać a sercem całem,
Trzeba być silnym duszą i ciałem, —
A czy to w wiosce, czy w wielkiem mieście
Taką przewagę uznają wreszcie.
Przewaga serca w imię przyjaźni
Najdumniejszego dumy nie drażni;
Wszyscy się chylą przed taką władzą,
Ochocze serca zawždy poddadzą;
A gdy już pierwsza przebyta próba,
Prowadź gromadkę gdzie się podoba.

VI.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnej chowa;
Lecz inszą dolę dały mu Nieba:
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabral go z chaty
W obce wojwództwo, aż pod Karpaty.

Żal rodzinnego było mu płota,
I wioska po nim będzie sierota;
Ojciec przeżegnał dobrego syna,
Gorzko płakała matka jedyna,
Chłopaki ucztę dali mu w domu,
Dziewczętom zucha żal pokryjomu;
Jedna, jak widać, smutniejsza nieco,
U drugiej łezki na oczach świecą.
Wszyscy żalują — on głowę traci,
Dumny tym żalem swoich współbraci.
Z sercem rozdartem i bolejącem,
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem,
Zakończył z braćmi ucztę ostatki,
Rzucił się do nóg ojca i matki,
Uściskał chłopców i dziewczyny młode,
Pożegnał kościół, cmentarz, gospodę,
Wsiadł na konika dworsko a raźnie,
Jeszcze się wszystkim skłonił przyjaźnie
I ruszył, świszcząc piosnkę kozaczą,
Pewien, że jego łez nie zobaczą,
I snuć marzenia zaczął powoli
O nowem życiu, o inszej doli.

VII.

Dobrze mu było na dworze pana:
Barwa złocista i posrebrzana,
Spięty popręgą, w sutoj bekieszy,
Z kity u czapki wielce się cieszy,
Strzelba przez plecy, konik cisawy,
O! taka służba jak dla zabawy!

Prędko się zuczyl celnego strzału,
I przyjaźń ludzka nie szła pomału;
Pan go od razu polubił wielce,
Kazał policzyć pomiędzy strzelce;
Dworscy przyjęli braterską dłońią,
No, i dziewczęta nie bardzo stronią.
Wesołe życie! jedyna bieda,
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da,
Że w dzień i w nocy tak sercem miota
Ta do rodzinnej skiby tęsknota!
Te ciągle myśli o swojej strzesie,
Ptaszek pod skrzydłem chyba je niesie!
Słodkie powietrze ze swego świata
Chyba zdradziecko z wiatrem przylata,
Aby do reszty odurzyć głowę,
Ażebym serce drzeć na połowę...
Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi,
Posyła najprzód do tamtych ludzi:
Co oni robią, żywi, czy zdrowi
Ojciec i matka, nasi domowi,
Nasze chłopaki, nasze dziewczęta?...
I kto tam jeszcze o mnie pamięta?
Czy tam wczorajsza doszła ulewa?
Czy wiatr któregoś nie złamał drzewa?
Tak była wątła, tak pochylona
Grusza przy chacie starca Szymona...
Co się tam stało z kościelną wieżą?
Kto tam rej wiedzie między młodzieżą?
Czy zawsze psisko u Pawła bramy?
Czy stary dzwonnik jeszcze ten samy?

Och! coś mi serce niedobrze tuszy!
Musiał kto umrzeć, bo tęskno w duszy...

Gdy się w niedzielę świetnie ustroi,
Och!—myśli sobie—gdyby tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy,
Jak mi strzelecka barwa do twarzy!
Tożby zazdrościł, aż głową kiwa,
Wioskowy strojniś, Marcin Pokrzywa!
A dziewczki nasz! nasze jagódki,
Tożby to uśmiech stroiły słodki!
Niby to zcicha, niby to skromnie,
Zawszeby jednak przyłgnęły do mnie...
O! gdzie tam, gdzie tam!... lepiej we świecie!
Proste jej sukno, proste uszycie...
Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy
W rodzinnej wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Piesby domowy rzucił się może...
Nie chcę tej barwy złotej, zielonej!
Puśćcie mię, puśćcie w domowe strony!...

VIII.

Tak często patrzył w stronę swej ziemi,
Stojąc z rękami załamanemi,
A chcąc zagłuszyć tęskność zdradziecką,
Myśli bywało:—Jakież ja dziecko!
Młodemu człeku, ot, wielka bieda,
Że pan' mi doma zagnuśnić nie da!
Cóż robić? tęskno po swej rodzinie,
Lecz to przeminie... Ej, nie przeminie!

Biednyś ty, Janku! wioskowej głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy;
Kiedy raz wrosła, nic nie pomogęm,
Już tej miłości nie wyciąć nożem!
Z taką tęsknotą, jak z karą bożą,
Już i do trumny ciebie położą!...

Są jedne dusze, które umieją
Ciągłe żyć światem, ciągle nadzieją,
A których serce wszędzie przyrasta:
Dzisiaj do wioski, jutro do miasta,
Dziś leć w powietrze, jutro płyn wodą,
Gdziekolwiek losy ciebie powiodą,
Wiosna im w maju, wiosna w październiku,
Wszędzie ojczyzna, gdzie jeno dobrze.

Są inne dusze, niby to święte,
Co, burzą życia w obczyznę pchnięte,
Tęsknią do swoich, tęsknią i marzą;
Potem powoli, z zimniejszą twarzą,
Z gorzkim uśmiechem, już winią Nieba:
Cóż mamy począć? tak już potrzeba!
A zresztą, mówiąc prawdą a Bogiem,
Konieczność musi stać się nalogiem,
Nałóg naturą: — radzi nieradzi,
Los, jak ogrodnik, gdy nas przesadzi
W Indye Wschodnie, do Neapolu,
Pomimo cierpień, pomimo bólu,
Musim się zrosnąć z nowym klimatem.
Litwa — Neapol... nie idzie za tem:
Litwę u piersi jak dziecko niańczy,
Lecz w Neapolu są pomarańcze,

Tam cień oliwny osłania głowę,
A w Litwie tylko szyszki borowe.
Człowiek, rad nierad, jakoś przywyka
Do pomarańczy od słonecznika.

Nałóg — natura: więc co za dziwa,
Że mi smakuje bardziej oliwa?

Są inne dusze, głupcy, waryaty,
Co woła słomę domowej chaty,
Co wśród palm pragną sosnowych lasów,
Co wśród pomarańcz i ananasów
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swej dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście,
Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,
Co, otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką goni kochanek! —

Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.
Widząc na murach blaszane szczyty,
On wołał domek słomą pokryty;
Nieuleczony, dziwny szaleniec,
On w kraju pszenным śnił żyta wieniec!
Szkoda cię, Janku w złoto przybrany,
Że do wioskowej tęsknisz sukmany,
Że gdy cię szczyci łaska bogacza,
Kiedy cię dworski przepych otacza,

Ku nędzy ojców strzelasz oczyma.
Zgubionyś, Janku! rady już niema!
Gdy raz gangrena wpadnie do łona,
To już choroba nieuleczona;
Znane lekarzom takie zjawisko,
Nawet łacińskie nosi nazwisko.
Jedyną na to leczebną siłą
Oddech z powietrza, gdzie się rodziło,
Szkłanica wody z domowej rzeki, —
Albo ze szczęściem rozbrat na wieki.

IX.

Rozbrat ze szczęściem! — taka twa dola:
Nieprędko wrócisz na swoje pola.
Mocuj się duchem, póki duch służy,
Bo długa kolej twojej podróży.
W rok coś niespełna, po wszystkich stronach
Poczęto gadać o legionach,
Coraz to głośniej, coraz to szerzej;
Poczęła szlachta zbierać żołnierzy,
I kto sam jeden, i kto gromadką,
Marsz za granicę umykać gładko!
I pan Jankowy, żywej natury,
Kazał swym strzelcom uszyć mundury,
Dał nowe konie, szable i lance
I powiódł zastęp w dalekie krańce.
Janek wesóły poszedł w żołnierze,
A chociaż chęćka zapłakać bierze,
Lecz myśli sobie: — Niech płaczą dziecił.
Łza żołnierzowi mundur oszpecil

Skoczyłby teraz do swojej wioski
Wziąć pożegnanie z ręki ojcowskiej,
Przyjąć od matki medal święcony,
Pożegnać braci i swoje strony,
Uścisnąć szczerze dziewczęta z siola;
Ale już czasu nie było zgoła.
Zagrano w trąbkę — pan już na przedzie,
I pał z kopyta, gdzie oko wiedzie.

X.

Krwawo, ruchawo, jakby w zachwycie,
Płynęło wtedy żołnierskie życie.
Dyktator Gallów grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki, dziejowy.
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy,
Z hufców układał ogniste frazy,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata.
A każda fraza i każda głos
Wrzała tak silnie, jak myśl mistrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczej, —
Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy.
Krwawym zygzakiem przekreślił Rome,
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Tracił o stare piramid głazy,
Ziemie germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pireneń
A ludzkość, pełna nowych nadziei,
Patrzając na krwawy zygzak, co pała,
Charakter boży na nim czytał!

To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan szedł na półboga.
Wielki poemat krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obręb gminu,
Tylko że większy dał rozmiar pysze,—
A pycha boskich dzieł nie napisze,
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze.

XI.

Ludzkość w półboga swego wierzyła:
Zbrojnych milionów olbrzymia siła
Stawała przy nim w jednej godzinie,
Leciała pędem, gdzie jeno skinie,
Porywa wirem, gdzie się zaczepi,
Co chwila wzrasta, coraz się krzepi.
Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył, jak trzeba;
Współ z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Współ z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzistą,
Gdy jego męstwo wodzowie chwalą,
Dostał wojenny krzyż pod Alhala;
W ziemi Rakuskiej, gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski — ranę na czole,
Lecząc się wyleczył — w szeregi staje,
I znowu poszedł w hiszpańskie kraje,
Gdzie niebo świetnym promieniem pała,
Gdzie pełno złota, gdzie trud i chwala,

Gdzie do zasługi niwa tak żyzna,
Gdzie najpiękniejszych dziewic ojczyzna.
Lecz tęsknych myśli z chrobrego czoła
Gwar obozowy wygnać nie zdoła.
W chwilach spoczynku śpią towarzysze,
A ich marzenia bitwa kołysze,
Śni się bój, zdobycz albo hulanka;
Insze marzenia na sercu Janka:
Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnow, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania.
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Spi na biwaku, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: to rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Nie! jeszcze serce było swoboda,
Opuścił wioskę za nadto młodo;
A w cudzych wioskach — pożał się, Boże! —
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?
On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnej goręcej.
Kochanka jego — to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospoda,

Z wieczornicami i z doświlkami,
Ze swoim niebem, swemi chmurami.

XII.

Przez pięć lat służąc w gwarnej żołnierce,
Janek zachował dawniejsze serce.
Zawsze w niem pieścił obraz swej wioski,
Zawsze śnił stary domek ojcowski:
Czy go zobaczy? i w jakiej doli?
Ot może Pan Bóg kiedyś pozwoli,
Mile dla serca zaświta rano.

Wojskom w te strony ruszyć kazano,
Bo właśnie zapal najwyżej wzrastał,
Rok osiemsetny dwunasty nastał.
Cesarów orzeł skrzydła rozpina
Nad sztandarami Korsykanina;
Skinął na północ i na wschód słońca —
Dwadzieścia plemion, jak lawa wrząca,
Płonąc i sycząc, i zionąc parę,
Szło zburzyć Kremlu wieżyce stare.

— «Pędem piorunu potok się leje» —
Tak o tej chwili pisały dzieje.

— «Zółw nas prześcignie w takim pochodzie» —
Powiadał Janek — ostrogą bodzie
I trzęsł swego wierzchowca spina:
«Ot już i Niemén, ot i rodzina,
«Ot i powietrze z tamtąd powiało,
«Ot i zobaczę mą wioskę całą!
«Toż mię otoczą roje gromadne!
«Toż ojcu, matce do nóg upadnę!

«Powiem im, powiem z całym zapalem,
«A gdzie ja byłem, a co widziałem.
«Otóż się każdy ze mnie nadziwi!
«Bógże wie tylko, czy oni żywi?
«Czy oni zawsze zdrowi, weseli?
«Czy może o mnie już zapomnieli?!

XIII.

Niemen przebyli, przyszli do Kowna.
Już miota Jankiem radość gwałtowna,
Zdaje się serce w piersiach nie mieści:
— «Już mi do domu mił ze dwadzieścia...
«Dwadzieścia tylko, och! jak to mało!
«Toż mię tysiącem mił przedzielało
«Od moich miłych... gdybyż być w przodzie!»
I znowu konia ostrogą bodzie;
Ale hamuje chętkę swawolną,
Bo się z szeregu wymknąć nie wolno:
Wezmą za zbiega, zastrzelą może...
«Umrzeć w tej chwili... Boże mój, Boże,
«Kiedy już czuję rodzinną ścianę!
«O nie! w szeregu lepiej zostanę;
«Tak każe dola, poddam się doli...
«Tylko że oni idą powoli,
«Noga za nogą za przednią strażą...
«Czemu im prędzej ruszyć nie każą?...

XIV.

Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogiłna

Chmurno zawisła — szepce kryjomu:

— «Tylko mil osiem do mego domu...

«Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?

«Kędy obróci wojenne marsze?

«Wprawo? czy wlewo?... Ależ broń Boże!

«Półk naszej wioski minąć nie może:

«Wioska nalewo — tamtędy droga...»

Ale myśl władców, to jak myśl Boga,
Nieodgadniona, nieprzeniknięta,

Słowo ich prawem, wola ich święta.

Więc drżący Janek ileż to razy

Pytał u pana: jakie rozkazy

Z głównej kwatery? — lecz pan nie zgadnie,

Którędy półkom ruszyć wypadnie.

Przyszła наконец karta złowroga:

«Dla konnych półków naprawo droga;

«Za dwie godziny wojsko wyruszy.»

Co się tam działo w Jankowej duszy,

Trudno wysłować.

Od swojej niwy

Znów los odpycha nielitościwy!

Onaż tak blisko być się zdawała!

I znowu lata lub wieczność cała

Przedzieli może nieszczęśliwego

Od miejsc, do których wciąż dumki biega!...

Chciał już uciekać — lecz honor drogi,

Wojskowa karność ma swe nałogi;

Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,

Już go pokusy zachwiać nie mogą:

Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni.
Janko, niezdolny postąpić podle,
Spuścił jak martwy ręce na siodle,
Spojrzał nalewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Podbiegła z wiatrem aż ku domowi:
— „Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!“

XV.

Niech ci powiedzą dziejowe karty,
Niech powie starzec, na kiju wsparty,
Te straszne hufce jaką szły drogą,
Budząc po kraju nadzieję z trwogą?
Gdzie ich zwycięstwo, gdzie była klęska?
Spytaj Możajska, spytaj Smoleńska,
Spytaj u ognia, śniegu i wody,
Gdzie się podziały owe narody?
Na bojowiskach spytaj się kości,
Spytaj u Chwały, co w niebie gości.

Z tęsknotą w sercu, z raną na czole,
Janek podzielał z panem niedole;
Chrobrze, cnotliwie i nieszczęśliwie
Wiodło się obu na własnej niwie.
Panu pod Moskwą, gdy bitwa pała,
Kula armatnia ręce urwała;
Uniósł go Janek z pobojowiska,
Czuwał, aż ślady życia odzyska,
A potem, niosąc służby ochocze,
Czuwał w szpitalu całe półrocze.

Gdy nieco zdrowia dano kalece,
Janek w troskliwej miał go opiece.
Na lichym wózku, w chłopskiej odzieży,
I pan, i sługa, nędzarze szczerzy,
Jeden i drugi, jak grób ponury,
Jechali kryć się w Karpackie góry,
A silna pogoń gnała ich w tyle...
Od wsi Jankowej tylko dwie mile;
Ale, zmykając co bliższą drogą,
Ani na chwilę zboczyć nie mogą.
Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonej
Spotkali człeka z tamtejszej strony;
Ten opowiedział wiernie Jankowi,
Że wszyscy żywi, że wszyscy zdrowi,
Tylko że ojciec jego już w grobie,
Tylko że matka jęczy w chorobie,
Tylko że w wiosce niedawnej chwili
Wrogowie kilka domów spalili,
Tylko się jakaś pobrała para,
Tylko runęła dzwonnica stara;
A co do reszty — łaskawe Nieba:
W Jankowej wiosce wszystko jak trzeba.

Janko na wojnie miał widok mnogi
Codziennych śmierci albo pożogi;
A serce jego, które niemało
Ciężkich zawodów w życiu doznało,
Stało się twarde, płakać nie może,
Tylko zawołał: — „Boże mój, Boże!
„Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie.
„A ja mówiłem, że już tak będzie!

„Ojciec nie żyje, a matka kona —
„Już wioska dla mnie jakby stracona!...
„Och! gdyby do niej choć na godzinę,
„Błogosławieństwo przyjąć matczyne,
„Widzieć grób ojca, znajome lice
„I rumowisko starej dzwonnicy!
„Lecz niema czasu!“ — Ruszyli dalej.
Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.
Bohaterowie z Wagram, z Madrytu,
Dzisiaj, strąceni ze sławy szczytu,
Zranieni w ciele, zwątpiali duszą,
Z dworku do dworku tułać się muszą,
Gdzie tyle ofiar bolesnych ginie,
Wędrować muszą po żebraniu.
Przywędrowali w Karpackie góry.
Świetny dwór pański, dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałośnie wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głucho milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne tchnienie,
A hufiec pański, zbrojny i strojny,
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,
Z pogadankami, ze wspomnieniami;
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

XVI.

Jańek, jak zawsze, do swej ustroni
Tęskni kryjomu i lezki roni;

Ale powracać—pożał się, Boże,—
Wbijać do serca kolce i noże!
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;
I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjej ręki jadła nie bierze,
Jeno z Jankowej—szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?

Leżąc, jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał—bo lat trzydzieści.
Przez lat trzydzieści, aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyślał ulgi sposoby.
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę—wioskę rodzoną!
Bo tam na wiosce niema już domu,
Tam niepotrzebny na nic nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary.
Z razu—z łańcuchem przykro mu było,
Potem przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nalogiem,
Stała miłości zachceniem drogiem.

Tak się zjednoczył duchem najściślej,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;

Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża,
Czy pan zasypia lub się ocyka. .
Och! to nie zwykły hołd niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryсны grymas odgadnie,
Przezna nałogi w latach niewoli,
Ale nie zgadnie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiej chorobie,
Czy będzie lepiej, czy gorzej tobie?
Co ból uśmierzy albo rozdrażni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba,
Ale cierpienia na próbę trzeba!
Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni próbą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie,
On twój na wieki—bezwarunkowie!

XVII.

Tak Janek przeżył i stał się stary,
Z jednym uczuciem—z duchem ofiary;
Lecz w przeznaczeniach jego żywota
Samo sieroctwo, sama tęsknota.
Biedny pan jego spoczął w mogile;
Janko, co nad nim czuwał lat tyle,
Co własne życie wlewał mu w łono,
Z którym go, zda się, duchem spojono,
Ciężko zaniemógł. Już się zdawało,
Że duch opuści znekane ciało;

Bo już na pana swego pogrzebie
Janko pochował połowę siebie,
Połowę myśli i całą wolę,
Jak niedołężne stał się pacholę.
Tak zielsko chmielne, wyciekłe, chore,
Gdy mu odejmą jego podpore,
Chwieje się, pada, blednieje, ginie,
Jak zatęsknione po swej tyczynie!
Tyka wspierała gałązkę chorą,
Janek dla pana sam był podpórą:
Więdnije, dręczon boleścią srogą,
Że nieść ofiary nie ma dla kogo,
Że już nikogo nie ma na świecie
Karmić i niańczyć, jak małe dziecię!
Po osłupiałej Janka postaci
Możnaby sądzić, że rozum traci.
Wybladły, nakształt nocnego stracha,
Sam z sobą gwarzy, rękami macha,
Udaje bitwę, szykuje rotę,
Śpiewa piosenkę dawnej ochoty,
Niby wystrzela... i marzy Janek
O czarnych oczach młodych Hiszpanek,
O pięknem niebie tamtejszej strony;
I znowu inną myślą wiedziony,
Idzie na atak, prowadzi więźnie,
Woła o pomoc, że w śniegach grzęźnie,
Niby to wiezie pana w podróży,
Niby to panu w chorobie służy,
Albo prowadzi orszak grobowy...
Wtedy się skarży na boleść głowy,

Że tam szum jakiś, coś jęczy, brzęczy..
I już nastawał moment szaleńczy,
Gdzie nic rozumu w prężonym nerwie
Już się na zawsze starga i przerwie.
Ale w tym szumie, jęku i brzęku
Inszy nerw życia drgnął pomaleńku:
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa.
Ale ten szelest, czy piosnki nót,
To coś dawniejsza, coś niepopsuta,
Coś taka sama, jak to, bywało,
Echo w powietrzu rodzinnem grało.

— «Tak... to powietrze rodzinnej niwy,
«A to skowronek, zwiastun życzliwy,
«Tam szelest sosny, tam polnej gruszy,
«A tam od łąki rozek pastuszy,
«A tam ze zbożem skrzypią woziska,
«A tam szczekają znajome psiska,
«Tam wóz plebana turkoce drogą...
«Boże, mój Boże! jakże mi błogo!
«Jakiś Ty dobry, Ojcze i Panie,
«Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!»

Uklęknął Janek, łzami się zalał,—
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swej wioski i swojej strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nótę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.
Już pan nie żyje — ktoż mu zabroni
Wrócić na starość do swej ustroni?

Ludzie się dziwią, zkąd taka zmiana,
Zkąd ta przytomność niespodziewana?
Zkąd taki spokój na Janka twarzy?
Czemu sam z sobą teraz nie gwarzy?
W końcu się czując zdrowszy i żwawszy,
Zniknął, nikogo nie pożegnawszy;
Myśla, że poszedł po żebranie,
I pamięć o nim we dworze ginie.

XVIII.

A on z tłumokiem, z wyniosłą głową,
Wybrał się w podróż ze stumilową.
Miał zapas grosza; lecz się nie lęka,
Że go obedrze zbójcka ręka, —
Bo w Słowiańszczyźnie cześć siwej brodzie.
Zajdzie gdzieś na noc, spocznie w gospodzie
I gdzie przed świtem, w porannej głuszy,
Dalej w pośpieszną podróż wyruszy.

XIX.

W miesiąc od wyjścia Janek szczęśliwy
Już był na wzgórku rodzinnej niwy;
I jako pielgrzym, kiedy postrzeże
Jerozolimskie najświętsze wieże,
Upada na twarz—jakowaś siła
Janka na ziemię jakby rzuciła.
Zaśmiał się, krzyknął, lzy słodkie roni:
—«Otoż i wioska! otoż i on! —
«Otoż ja przy nich! otom u celul
«O dobry Boże! o Zbawicielu!...»

Podniósł się, spojrzał z twarzą żalowaną:

— «Gdzież nasza chata? tam drzewa rosna!

«Ojciec już umarł, umarła matka...

«Ależ brat starszy! ależ gromadka!...

«A gdzież kaplica? gdzie chatka stróża?...

«Gospoda nowa... a jaka duża!...

«Konie się pasą—niedzielną pora,

«A gdzież jest biały konik Hrehora?

«Musiał go sprzedać—źle zrobił... szkoda!

«Żwawy był konik... a krew nie woda...

«Zkąd się tu wzięły te nowe grusze?

«Dawniej nie było—pamiętać muszą:

«Tam stała dawniej ponad mogiła, —

«Cóż się tam zawsze ptactwa gnieździło!...

«Biedny ja człowiek!... Boże kochany!

«Jakież tu zmiany! jakież tu zmiany!

«Gdzie stary olszniak? pod samym wjazdem

«Kto zrabiał olchę z bocianiem gniazdem?...

«A jakie zboża! patrzeć żalownie;

«Toż to bywało w człowieka rośnie!...

«Strumień powęzał—błoto na drodze...

«O nieszczęśliwy! co ja znachodzę!

«Gdzież moja wioska, drzewka i strugi?...»

Janek się zachwiał—i po raz drugi

Upadł na ziemię, płacząc boleśnie:

— «Och! dusza moja tutaj nie wskrześnie!»

XX.

Wszedł do gospody. Tam, jak w niedzielę,
Już się zebralo narodu wiele.

— «Dziewczęta, chłopcy... czy mi się marzy?
— Tu ani jednej znajomej twarzy!...
«Dobrzy wy ludzie! — spyta nieśmiało: —
«Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?
«Czy jestem we śnie?» —

— «A waść kto taki?» —

Poczęły pytać wiejskie chłopaki.
— «Jam Janko Skiba — czyż mię nie znacie?
«Mieszkałem niegdyś w końcowej chacie...
«Gdzież moja chata?»

— «Pijanyś chyba:

«W tej wiosce żaden nie mieszkał Skiba.
— «Jak to nie mieszkał? — drugi odpowie
«Słyszę, tu żyli dawniej Skibowie,
«Ale wymarli, — pewnie ich niwa,
«Co Skibowszczyznę dziś się nazywa;
«Tam pustoszą dworska.»

— «Gdzież Szymon Żłoba?»

— «Ten dawno umarł; synowie oba
«Żyją przy studni, tam, w nowej chacie.
«Otoż i oni, jeżeli znacie.»
— «Nie znam tych twarzy!... A Piotr Siekiera?»
— «Ten jeszcze żyje, ale umiera:
«Starość nie radość, a śmierć na dziady!»
— «On był najmłodszy z naszej gromady.
«Lubił tańcować!» —

Tu śmiech bez miary:

— «Co się wam święci, żołnierzu stary?
«Toż on, już pewno dziesięć lat minie,
«Chodzi na szczudłach po zebraniach!»

Janek umilknął, — z pochmurnem czołem
Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,
I jak swych braci dobrze pamięta,
Pytał o chłopców i o dziewczęta.
Za każdym razem śmiech bez ustanku:
Bo tamci ludzie, rówieśni Janku,
Jedni pomarli, drudzy ztąd wyszli,
Nowej gromadzie już ani w myśli;
A z tamtych dziewcząt gromady całej
Dwie stare babki ledwie zostały.
Janek już nie śmie pytać o więcej;
Krew w jego piersiach bije goręcej,
Wychyli czarę i gorzko duma:
Tu każdy brata, każdy ma kuma,
A on nikogo znaleźć nie może!
— «Oj życie, życie! pożal się, Boże!»

Wtem jeden wieśniak, człek już niemłody,
Przyszedł ku niemu z końca gospody:

— «Panie żołnierzu! tutaj, przy kwarcie,
«Muszę pomówić z wami otwarcie.
«Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?
«Czy, jak to mówią, drogi pytacie?
«Lecz, już uważam, znana wam strona,
«Znacie nazwiska, znacie imiona.
«Czy wy ze Skibów który jesteście?
«Czy dawno z wioski?»

— «Już lat czterdzieści.»

Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:

— «A w Imię Ojca, Syna i Ducha!

«Szalony człowiek! jemu się zdało,
«Że znajdzie swoją gromadę całą!
«Piotr żebrak skacze ze starą Martą!
«A dalipanże, popatrzeć warto!
«Marta jedyna dzisiaj do płasa!»

Tu stary Janek pokręcił węża,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichi,
Że aż skoczyły na nim kielichy,
I krzyknął męskim z Austerlitz głosem:

— «Wara mi bluźnić! jam nie młokosem!
«Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
«Kto szydzi z Piotra—to wy kalecy!
«On (jeśli wierzyć) na nogę chromie;
«U was kalectwo znacznie widomie,
«Kalectwo w głowach!... Kto zbłąźni Marcie;
«To go na rękę wyzwę otwarcie!
«To było dziewczę cnotliwe, piękne!
«Kto mi zaprzeczy, nic się nie zleknie,
«Zbiję dziesięciu!...»

Młodzież pobladła.

— «To jakaś sztuka srodze zajadła!» —
Pomruknął jeden, a drugi doda:

— «Uważasz, kumiel to krew, nie woda!
«On tak dowodzi — i prawda może,
«Że stara Marta to dziewczę hoże...
«Niech i tak będzie, jeśli wypada.»

Kiedy tak zcicha szepce gromada,
Janek lęz otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarę:

— «Dzieci wy, dzieci!

«Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
«Ta wioska dzisiaj inaczej stoi.
«Z waszymi dziady dobrze się znałem,
«Z waszymi ojcy piłem, hulalem —
«Ja do nich pójdę... Hej! kto chce złota?
«Komu na cmentarz służy ochota,
«Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
«Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
«Do nich mi trzeba, do nich i kwita;
«Stary znajomy niech ich powita,
«Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni—
«A Janka Skibę poznają oni!
«Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
«Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
«Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
«Że wszyscy nowych chat gospodarze
«Z chleba i soli podarek bierą...
«Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
«A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie,
«Nowe mieszkania obrali w trumnie,
«Pójdę z podarkiem—będą mi radzi...
«Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?»

I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł, chyląc czarę:
—«Ja ci pokażę grobowce stare».

Janek, kipiący i odmłodniały,
Wziął kufel miodu, kufel gorzały,
I z przewodnikiem, w znane rozdroże,
Na stary cmentarz śpieszy, jak może.

EPILOG.

Nocował na cmentarzu,—a kiedy się zbudzi,
Rozpytywał po wiosce o dawniejszych ludzi;
Znalazł chorych dwóch starców, których zapamięta,
I dwie stare niewiasty—dawniejsze dziewczęta,
Przy nich szukał wytchnienia upragnionej chwili,
Lecz i oni, jak wioska, strasznie się zmienili:
Życie wionęło chłodem do ich starej duszy;
Jeszcze radzi pogwarzyć—lecz ich nic nie wzruszy:
Czas wyciska swe piętno i zarówno plami
Ich serce samolubstwem, jak czoło zmarszczkami.
Janko, co znał ich dusze w dawniejszym rozkwicie,
Co się cieszył z początku, że tleje w nich życie,
Gdy widział, jak ich postać zmienia się i karli,
Pożałował, że jeszcze i ci nie umarli.
I na zawsze zaniechał wdawać się z żywemi:
Jego świat, jego wioska, leżą w głębi ziemi!
Najął chatkę—i codziennie, ledwie jutrznia świta,
On się zrywa z pościeli, o jadło nie pyta,
Zachodzi do gospody, bierze flaszkę miodu,
Aby z ludźmi, z którymi żyło się za młodu,
Przepić na ich grobowcach.—Tak codziennie a codziennie
Zawsze go na cmentarzu spotykał przechodzień;
A płocha kupa dziatwy, co przed starcem znika,
Nadała mu przezwisko *Janka Cmentarnika*.

Znało jego sukmanę i barki pochyle;
Codziennie *Janek Cmentarnik* idzie na mogile,

Kłęk przed jakim krzyżem i miód z kufła chyli:

— «W ręce twoje, Hrehory! Pij wesół, Wasili!

«Czy pamiętasz, Hrehory—tyś był zuch do spółki!—

«Służąc do mszy, jak wino piliśmy z ampułki?

«O! ja ciebie lubilem, nazywałem swoim.

«Nieraz my z tobą, bracie, całą wioskę poim;

«Tyś ostatkiem z bliźnimi podzielić się gotów,

«Ale masz jedną wadę: skoryś do zalotów.

«A kochać, mój Hrehory, powiem rzecz otwartą,

«Mężczyznę, czy niewiastę—to niebardzo warto.

«Na dwoje babka wróży—w miłości, mój bracie,

«Albo zawód dla serca, lub żal po utracie.

«Ja przynajmniej nie myślę pokochać na nowo!

Tu Janko machnął ręką i pokiwał głową,

Odszedł i do drugiego grobowca się chyli:

— «Wasili! Czy ty słyszysz? Czy ty śpisz, Wasili?

«Ty chciałeś być żołnierzem—zapalonyś nieco;

«Ty chciałeś widzieć wojnę, jak to kule leca!

«Wiesz, Wasili? Ja byłem w hiszpańskiej krainie,

«Byłem w Niemczech, w Smoleńsku, wszędy, gdzie krew
[płynię

«Czy ty wiesz? To niestraszno! Leci półk zuchwalczy,

«Wierząc w Boga i wierząc w to, za co się walczy,

«Kule zwyczajnie... lecą... no... może zabijają;

«Ale tego, kto wrócił z niezłamaną szyją,

«Jaką witają cześcią, jakimi krzyżami!

«Szkoda!... szkoda, Wasili, żeś ty nie był z nami!

«Przyniosłem miód dla ciebie,—w ręce, mój Wasili!

«Lecz prawda, tyś umarł—Janek sam wychyli.

«Nowe czasy nastały! Gdzie skryć się przed zgrają?
«Tutaj mię *Cmentarnikiem* ludzie nazywają!
«Bo cóż poradzisz sercu? Ja tu z wami gwarzę;
«Mój dom, kościół, gospoda—to wasze cmentarze.
«I u mnie w sercu cmentarz, my pokrewne trupy.
«Cóż za dziw, że wólimy schodzić się do kupy,
«Niżli rękę żywego ścisnąć w bratniej dłoni?
«My nie dla nich, Wasili, i nie dla nas oni!»

Tak od grobu do grobu, pijąc, plotąc baśnie,
Janek spłaczę się — spłaczę — i na koniec zaśnie;
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo.
Lecz w rok po śmierci pana, pod cmentarną bramą
Znaleźli z kufl'em w ręku już nieżywe ciało,
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało;
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra...
Ej ten *Janek Cmentarnik* — pocieszna figura!



Żaścianek Podkowa.

Gawęda szlachecka z 1812 roku.

PODRÓŻNY.

Boże, co za spiekota! pot czoło opływa...
Prędkoż mię do gospody zawiedzie ta ścieżka?
Ziemio rodzinna moja! szczęśny, kto tu mieszka,
Biedny, kto podróż odbywał

Hop, mój koniu! choć pianą i potem okryty,
Choć pan twój ledwie żyje ze skwaru, z niewczasu!
Tam za górą, na łące widać jakieś szczyty:

To może strzecha popasu.

Mylę się... to są gruzy starego kościoła:
Tynk opadł, okna puste, wyszczerbione mury,
Na dachu szkielet krokwi nienakrytych zgoła,
A w klonie dzwon sygnatury.

Co za rozkoszne miejsce! a pustkami stoi,
Odlegiem leży pasmo pól i sianożęci...
Jak tu pięknie w olszniaku ów strumień się kręci!

On nas spragnionych napoi.

Puszczę konia na trawę, a sam wodą czystą
Orzeźwię się, umyję i ręce, i skronie,
A ległszy na murawie, olszyną cienistą
Spaloną głowę osłonę.

ŻEBRAK.

Dzień dobry, mój paniczku! Niech cię Pan Bóg broni,
Niech chowa w swojej opiece.
Wiedz, że tutaj na łące niewolno paść koni,
Niewolno poić w tej rzece.

PODRÓŻNY.

Jak to! mówisz: niewolno,— a czyjaż to łąka?
Czy jesteś stróżem najętym?

ŻEBRAK.

Tak, panie, jestem stróżem, jak pies, co się błaka,
Czując nad skarbem zakłętym.

Stróżem jestem; ten kościół, te spalone krzyże,

Cmentarz, z kąd panisko dyba,

Te łąki, te poletki i te wody chyże,

To moich przodków siedziba.

Czy widzisz za kaplicą gruz pieców ceglasy?

Widzisz ten komin wyniosły?

Czy widzisz stosy węgla, pokrzywy i chwasty,

Co na popiele wyrosły?

Czy widzisz tę w zagonach ziemię nieuprawną?

Nie zawsze była jałową!

Przed trzydziestu latami... niezbyt jeszcze dawno

Tu stał zaścianek Podkowa,—

Tak narzeczon od herbu, co rodu zaszczyty

Głosił z niepamiętnej pory,

Bo my, choć biedni, mamy klejnot rodowity,

Co dał nam Stefan Batory.

Bo to za owych czasów nasz przodek Konstanty

Nabył swój klejnot dostojnie:

Kiedy Stefan Batory zdobywał Inflanty,

Zyskał szlachectwo na wojnie.

Od niego to pochodzi parantela nasza,

Drzewo wspaniałej postaci:

Syn Konstantyna Krzysztof zrodził Tobiasza,

Tobiasz zrodził trzech braci;

Najstarszy był Mikołaj, jego gałąź trzyma

W rodzie pierwszeństwo ojczyste,

Mikołaj zrodził Pawła, Paweł Joachima,

Joachim Jana Baptystę;

Jan, mosanie, Baptysta,—zbaw mu, Boże, duszę,—

To był mój ojciec rodzony.

Achl coby on powiedział, że ja spędzać muszę
Gościa, co przybył w te strony!
Pan myślisz, że ja bronię łąki i pastwisko
Z jakiejś niehumanitarnej rachuby?
Nieprawda, jak Bóg żywy, nieprawda, panisko!
Ja tylko nie chcę twej zguby.
Ho! ho! gdybyś zawitał do tego ustronia,
Gdy tu mieszkałem za młodu,
Miałbyś suto murogu i owsa dla konia,
Miałbyś i piwa, i miodu,
Bo tu była zamożność i wiosna, i zima.
Wiesz, jaka była tu cnota?
Każdy, kto tu przyjechał, lub zabłądził мимо,
Nie wyszedł trzeźwy za wrota.
A teraz, gdy zaścianek przyszedł ku zagubie,
Wiesz, jak przeklęty okropnie?
Biada bydłu, co trawy z tej łąki uskubiel
Biada, kto wody tej żłopnie!
A nawet kto tutejszy, mija to bezdroże,
Bo wie, że ziemia zaklęta:
Albo koło się złamie, lub koń zaniemoże,
Albo go niemoc opęta.
Mnie pan hrabia tutejszy trzyma za zapłatą,
Bym stał jak wiecha przydrożna
I ostrzegał podróżnych i zima, i lato,
Że tędy jechać niemożna.
Bywało — zorzą drogę — to jedzie kto nie wie,
I klęskę sobie napyta;
W przeszłym roku, żebraka, ot tu przy tem drzewie
Roztrzaskał piorun i kwita.

Czy mało? co rok prawie coś się komuś stanie,
Kto w to zabłądzi bezdroże.

PODRÓŻNY.

Cóż to jest? czary jakieś?

ŻEBRAK.

Nie czary, mój panie,
Lecz pomsta musi być Boża.

PODRÓŻNY.

Za co?

ŻEBRAK.

Ha! długo gadać, koń trendzlami dzwoni
Na długie gawędy nasze.
Wiesz pan co? przebrnij rzekę i na tamtej błoni
Puść swego konia na paszę.
Tam już grunt niezaklęty i dobre pastwisko.
Widzisz tę kłodę dębową?
Siądźmy, ja ci opowiem, z kąd to uroczysko
Zaklętem i *Pomstą* zową.

II.

Tandem więc, jak mówiłem i jak widzisz ślady,
Tu był zaścianek Podkowa,
Tu żyły moje dziady i moje pradiady,
Pocziwa szlachta czynszowa.
A tam dalej za lasem stał dwór murowany,
Z zamkiem, wałami i fossą;

Tu jeńcowie tatarscy budowali ściany,
 Jak dawne powieści niosą.
Pan dzisiejszy zmurował pałac znakomity,
 Ślad zamku zarosły chwasty,
Ale jeszcze jest brama, a na niej wyryty
 Rok tysiąc sześćset szesnasty.
Jeszcze pamiętam zamek i pana starostę,
 Kiedy to jedzie na sejmy,
Przysyła tu hajduka i szlachcice proste
 Sprasza na obiad uprzejmy.
Było w naszym zaścianku domów ze dwanaście,
 Płacących czynsze za ziemię:
Dziedzic jak grunt wydzielił ojcu protoplaście,
 Z wiekiem... rozrosło się plemię.
A czynsz, mospanie, lekki, opłacać aż miło,
 Lub służyć w bandzie ochoczej;
Najczęściej się do zamku rycersko służyło —
 Koń i pacholek z pół-włoczy.
Ale co to za służba? to i znaleźć rzadko!
 Wojna, czy sprawa domowa,
Każą jednemu jechać, to całą gromadką
 Wali zaścianek Podkowa.
Dziedzic bywało krzyknie: «Pomóżcie mi, chłopcy!»
 My lecim z ciałem i duszą,
Czy gdzie karczmę zapalić, czy rozrzucić kopce,
 Wszyscy z zaścianku wyruszą.
Czasem się aż starszyzna rozgniewała nasza,
 Kiedy w sianokos lub żniwa
Jaśnie wielmożny dziedzic na sejmik zaprasza
 Lub na obławę przyzywa.

Któż pogardzi sejmikiem albo polowaniem?
Więc krzyczy młodzież wesola:
«Murem, mospaniel murem naszych piersi staniam,
«Gdzie pan starosta powoła!»
Mój ojciec (wieczny pokój!) czasem podziwaczy:
«Ej! młodzi! żnijcie i koście!»
Ale sam się uśmiecha, bo wie, co to znaczy
Wskarbić się w łaskę staroście.
Tylko wolę starosty miej za rozkaz święty,
A wszystko uzyskać można:
Łąka ci nieskoszona, albo morg nieżęty,—
Dworscy włościanie go pożą.
Jedno słowo: «Wy bracia, wy sąsiedzi moi!»
Było na ustach paniska;
Bywało zbierze szlachtę, nakarmi, napoi,
Jeszcze do piersi przyciska.
Czasem, gdy stary szlachcic w uroczystym czasie
Zanadto spełnia wiwaty
I upadnie pod ławę,— to w pańskiej kolasie
Odwiozą starca do chaty.

III.

Tak wiek z wieków, od czasów któregoś Zygmunta,
Szlachta osiadła te grunta;
A ten strumień, co płynie pomiędzy parowy
W kształcie herbowej Podkowy,
Pamięta, choć w około ślady się zatarły,
Jak dziady i wnuki marły,
Jak prawnuki wzrastały; on powiedzieć może
Wszystkie dopuszczenia boże,

Wszystkie lata wesole, wszystkie czarne biedy,
 Jak szły Tatarzy i Szwedy,
W którym roku był pomór, w którym znak niebieski,
 Sejm, czy trybunał litewski.
Bo nieraz tu starcowie o wieczornej chwili
 Swoje przygody gwarzyli.
Strumień pewno pamięta... dowiedzieć się muszę,
 Kto to zaszczepił te grusze,
Które ot tam, usechłszy na zakłętej ziemi,
 Sterczą szkielety nagiemi.
A smaczny miały owoc!... aż dotąd mi w duszy
 Smak tych jabłoni i gruszy,
Com je niegdyś obijał z tej gałęzi dużej,
 Co krukom za gniazdo służy.
Strumień mi kiedyś powie, z jakiej to ofiary
 Wzniesiono kościółek stary,
Który tam właśnie sterczał sosnowemi ścianą,
 Gdzie dzisiaj ten gruz ceglany.
Pamiętam tę kapliczkę drewnianą, nadgniłą,
 Gdzie to się do mszy służyło,
Gdziem z pod samej wieżyczki, dla marnej uciechy,
 Wykręcał wróble z pod strzechy;
Gdzie z chóru, jakby z tronu, poglądałem dumnie,
 Gdziem ojca zakopał w trumnie,
Gdzie brałem ślub, gdzie dla mnie i starzy, i mali
 Veni Creator śpiewali.
Jasny był dzień! ej jasny! lecz w oczach mi ciemno...
 Panie! zlituj się nademną!
Stare oczy a głupie—wspomnisz dawne dzieje,
 To z nich się i łza poleje.

Fraszka ła i wspominek!—tylko duch rozżarzy,
Wypala zmarszczki na twarzy;
A jeszcze cudzy człowiek, widząc, że my płaczem,
Gotów się zaśmiać cichaczem.

IV.

Po starych dobrych czasach—ot przyszedł wiek nowy.
Nastaly czarne lata na szlachtę z Podkowy,
Przeminął czas sejmików, jak mija sen marny,
Zhardział nasz pan starosta niegdyś popularny,
Zostaliśmy magnatom niezdatni i biedni,
Minęła łaska pańska, minął chleb powszedni.
Tam grad pola wybije, owdzie chata spłonie,
Trudno już było wyżyć na naszym zagonie,
Gdzie się nowe kłopoty zjawiały co chwilę,
Gdzie czynszmi obłożono we dwójnasób tyle,
Gdzie, nie bacząc na starca lub niewiastę chorą,
W dzień świętego Marcina okna ci wybiorą.

Ej, te nieszczęsne czynsze! jakby kość do gardła..
Przez nie to w rok po ślubie żona mi umarła,
A gdyśmy wieźli trupa, pacholek pijany
Konia mi z pod śmiertelnej wyprzągl karawany.
Znosili twardą biedę Podkowanie starzy,
Gniew trząśł się na ich wąsach i zmarszczkach na twarzy,
Nieraz pobiedz do zamku i rąbać się chcieli;
Do boku! och! na teraz szkoda karabeli!
Szkoda pocziwej bron! choć cię w sztuki potną,
Cierp, szlachto podkowieńska, zelżywość sromotną.

Pan starosta, co naszej uragał się biedzie,
Rozumiał, że na niego śmierć nigdy nie przyjdzie;

Śmierć przyszła swoją drogą — pan leży w kościele...
On wiele uszczęśliwił i ukrzywdził wiele;
Niech mu Bóg dobrotliwy jego win nie baczycy,
Niech mu jedno nagrodzi, a drugie przebaczy!...
Źle nam było pod koniec — lecz gniew nastał boski,
Gdy syn jego, pan hrabia, odziedziczył wioski:
Sam z człkiem i nie gadał, a dworskie kozaki
Krwawo i łzawo szlachcie dały się we znaki.
Szlachta lubi polować, a tuż las graniczy.
Biada, jeśli ze strzelbą spotkał cię leśniczy!
Biada, jeśli dziewczęta niebaczne, bo młode,
Zerwą kwiatek na łące lub w lesie jagodę!
Biada, jeżeli trzoda za rzeczkę choć wbieży!
Nie unikniesz pogrózek, gwałtów i grabieży!
Kiedyśmy szli do hrabi skarżyć się na zgraję,
Psami szczwały nas z zamku francuskie lokaje;
A pan, jeśli do niego docisnąć się zdarzy,
Obelgą cię nakarmi lub czynem znieważy.

Myślisz — hrabia, co bronił swe lasy i pasze,
Wzajemnie kiedy miedze uszanował nasze?
Gdzie tam! — konno, ze psami, z harapem u pasa,
Codzień po naszych łąkach i pastwiskach hasa,
Nasze zboże tratuje, poniewiera marnie,
Lub na naszych owieczkach zaprawia swe psiarnie.
A jeśli się pożalisz, to cię sfuka o to:

«A milczeć mi! zuchwała, niewdzięczna hołoto!
«Jeżeli wam niedobrze na tutejszej stronie,
«Precz mi z mojego gruntu! ja odejść nie bronię!«

Próżno się człowiek modli i litości czeka —
Wciąż jedna sprawiedliwość i jedna opieka.

V.

Wtem dziwne wieści krążą po powiecie:
Trąby francuskie po za Niemnem dzwonią,
Dwa groźne wojska stanęły pod bronią,
I hrabia wspomniał, żeśmy ludzie przecie.
Czy to z nadziei, czy z jakiegoś strachu,
Wnet powziął ku nam najżyczliwsze chęci;
Ot! jak chorągiew na zamkowym dachu,
Tak serce hrabi za wiatrem się kręci.
Grzecznie się kłaniał, aż jednej niedzieli
Odwiedził wszystkich czynszowych swej ziemi,
Uściskał młodzież, szeptał ze starszemi,
Kłął przed kaplicą, i wszyscy klęknięli..
Modlą się, gwarzą—już i noc zapada,
A jeszcze trwają modły i narada.
Nazajutrz, ledwie poranek zabłyśka,
Znikła z zaścianku młodzież od wyboru,
Zniknęły konie z naszego pastwiska,
Zniknął pan hrabia ze swojego dworu.
W siedzibach naszych jeno pozostali
Drżący starcowie albo chłopcy mali,
Kobiety słabe, lub kto mimo chęci
Pozostał doma z wiarą i otuchą;
W zaścianku naszym, jak w grobowcu, głucho,
Nie słyhać brzęku kos na sianożęci,
Nie zarzą konie na wieczornej paszy,
Trwożna niewiasta co godzina blednie,
Bo wyją wilki, których nikt nie straszy,
I puhacz puha czarne przepowiednie,

I smutno jakoś w chmurach się rozbija
Echo od dzwonka na *Zdrowaś Marya*.

VI.

Robocze lato wyzwalo nas z domu.
Po ukraińsku rozrosło się żyto;
Kłos z niebem gada i chleba obfito,
Tylko pracować i jeść niema komu.
Kilku staruszków — ot cała drużyna;
Dziad chce pracować, lecz mu ręka mdleje,
Tylkoby śpiewał godzinki za syna,
Lub przypominał starodawne dzieje;
Kilku młodzieńców, co niby to skoro
Rwą się do pracy, by rozerwać serce,
Ale na polu do kółka się zbiorą,
Gwarzą o bitwach, mundurach, żołnierce.
A pora schodzi — przeminał czas suszy,
Mglami jesieni powlokło się słońce,
Zboże nieżęte sypie się i kruszy,
Trawy stwardniały i zeschły na łące;
Ledwie gdzie niegdzie wytykają głowę
Kopice siana lub mendle zbożowe.
Nastala jesień, cały płon się kwasi,
I tak zmarniała całoroczna praca.
A gdzie pan hrabia? gdzie rycerze nasi?
Nie masz i wieści, gdzie kto się obraca.
Nastala zima o niezwykłej porze,
Pan Bóg na ziemię zagniewał się biedną —
Śniegi głębokie wypadły na dworze,
W białej zawiei i świata niewidno;

A mróz ognisty z jesieni jak chwyci,
To trwa do wiosny ku ludzkiej zagubie;
Nie jeden zginął i w rysiowej szubie,
A cóż nędzarze, łachmanem okryci?

Wlóczą się wszędy i o każdej chwili
Przemarzłe dziady, żołnierze, żydziska,
I częste wieści od pobojoywiska:
Tu zbili jednych, tam drudzy pobili,
Owdzie wygrana, owdzie straszna klęska,
Owdzie pod tego, tam owego wodzą,
Z pod Borysowa, Możajska, Smoleńska,
Wieści po wieściach jak gromy dochodzą,
Jeden im wierzy, a drugi nie wierzy,
Lecz pełno westchnień, postów i pacierzy,
Codzień pod kościół ciśnie się gromada,
Modli się z płaczem i ofiary składa.

VII.

W początkach adwentu, o szarej godzinie,
Do naszej chałupy zeszła się gromada,
I w koło zasiadłszy przy ciepłym kominie,
Ten szczepie łuczywo, ten wzdycha, ów gada;
Mój ojciec przy oknie, w płócianej oponczy,
Sieć wiąże na ryby i pacierz swój kończy.
A był to czas mroźnej zamieci i słoty —
Wiatr silny—aż ściany łamią się i trzeszczą,
A wichur śnieg skręca i składa w sumioty,
I świszczce w kominie piosenkę złowieszczą.
Wtem drzwi się rozpadły: ktoś zziębły, wąsaty,
Przy szabli i w burce wtoczył się do chaty.

Przeraził nas wszystkich ten napad znieenacka,
Wiadomo, jak w wojnie żołnierze zuchwali;
Czy banda westfalska, czy sotnia kozacka,
Zrabuje, spustoszy, a może i spali.

— »Niech będzie pochwalon!« — zawołał przybyły.

— »Na wieki i amen!« — odrzekła gromada.

Ot jakoś nieznacznie przybyło nam siły:

— »Kto chwali Chrystusa, kto tak do nas gada,

»Nie może być rabuś« — rzekł ojciec spokojnie. —

»Ot dzięki Ci, Boże, są wieści o wojnie!« —

I zatknął u pasa święcone paciórki —

A żołnierz śnieg otrząśł z kaszkieta i burki,

I z lodu ocisnął namarzłe wąsiska...

To Stefan — to brat mój... Z pochmurnem obliczem

Podbieżał do ojca, kolana mu ściska

I wita się z nami — my bieżym i krzyczym,

Witamy, ściskamy, radością wzruszeni:

— »No, cóż tam? jak idzie? jak się wam powodzi?«

Tysiące zapytań, jak z procy kamieni,

Rzucają z pośpiechem i starzy, i młodzi.

— »Źle idzie — rzekł Stefan: — skończyła się praca,

»Już nasze rojenia minęły, uciekły;

»Już Francuz w cieplejsze krainy powraca,

»Przemarzły, przelekły, pobity i wściekły.

»Bóg z nimi, mój ojczel! ja u was w gościnie,

»Konika popasę i ruszam z kopyta:

»Za Wisłą, za Niemnem, na cudzej krainie,

»Być może, że słońce nam jeszcze zaświta.

»O! wtedy to z hrabią rachunek uczynim —

»On stchórzył na polu, gdzie ogień się krzesze,

«Porzucił nas wszystkich, co byliśmy przy nim,
»Zapragnął Paryża i powiózł depesze,
«I zółd nasz zagarnął na domiar swej zbrodni.
«Ej, hrabio, nie ujdiesz pałasza lub kija!
«My tutaj krew lejem, i głodni, i chłodni,
«A waszeć w Paryżu gdzieś winko popija!
«Jedź z Bogiem, pij z Bogiem wesoly i zdrowy,
«Nie zginiem bez ciebie, kochany sąsiedzie!
«Nas wzięto po półkach — a szlachcie z Podkowy
«Ze strzelbą czy z lancą niegorzej się wiedzie,
«Bo Pan Bóg nad nami litować się raczy.
«Zwyczajnie jak wojna — wszelako się zdarzy:
«Piotr został raniony od piki kozaczej,
«Jan krzyżyk otrzymał za wzięcie bagaży,
«Franciszek w szpitalu, bo rąbał się szczerze,
«(Nie lekaj się, ojczu, nie będzie kaleką),
«Mikołaj kapralem przy głównej kwaterze;
«O reszcie ja nie wiem, bo półki daleko.
«Dziś idziem do Niemiec, choć pędzą za nami,
«Posłyszycie wkrótce nowiny rozgłosne,
«A śladem za wieścią my do was, my sami,
«Z jaskółką, z bocianem powrócim na wiosnę.»

VIII.

Ale wiosna nie chybia, jak człowiecza dola.
Przyszło cieplejsze słońce, śnieg otopniał z pola,
Strumień otrząsł się z lodu i swobodnie płynie,
I bocian zaklekotał... ot na tej olszynie!
I przyleciała czarnych jaskólek gromada,
A każda coś szczebiocze, każda rozpowiada...

Któż tam, proszę, potrafi dowiedzieć się od niej?
Może pokłon przynosi z krainy zachodniej?
Ale gdzie tam... dla Boga! — och! ku naszej strzesie
Czarny kruk chyba z wojny wiadomość przyniesie
I rozpowie krakaniem żarłocznego gardła;
Matka głos ten pojęła i szatę rozdarła,
I załamała ręce... Serce matki zgadnie,
Choć wojna za górami, gdzie kula upadnie.
Sprawdził się przestach ojców i matek w Podkowie,
Sprawdziło się, co czarni krakali krukowie:
Bo wszystka niemal młodzież, cała nasza siła
Gdzieś w niemieckiej krainie głowę położyła;
Kilku jeno wróciło poranionych srodze,
Z krzyżykami u piersi, na drewnianej nodze,
Lub na szczudłach żebraczych. Mała z nich usługa:
Okaleczały ręce niezdolne do pługą,
Młode jeszcze, lecz kulą zgruchotane barki
Nie podźwigną ciężaru chatniej gospodarki.
Stary ojciec i matko! to cóż, że wy starzy?
Idźcie na chleb pracować dla biednych nędzarzy, —
Nie każdemu sądzono w jednostajnej mierze
Wypoczywać na starość, szepcując pacierze.
Ojciec, bierz się do pługą, matko, idź do żniwa,
Pracujcie i na syna, co z ran dogorywa,
I na czynsze, dworową zakresłone kartą,
Aby wam w dzień zimowy okien nie wydarto.

— «Co tam czynsze? wszak hrabia powrócił już, słyszę,
«Wspomni na swojej broni wierne towarzysze. —
«On niegdyś grosz ich zabrał, dziś w potrzebnej porze
«I młodych pożałuje, i starych wspomůže.»

Tak starcy, pocieszając swój frasunek srogi,
Powlekli się do zamku żebrzeć zapomogi.

IX.

Zajrzyj do ula ciemnego kąta:
Jak się rój cały przy matce krząta,
Jako tam w roju z życzliwych dzieci
Jedno drugiego w pracy wyściga,
To niesie matce balsamy z kwieci,
A drugie wody kropelkę dźwiga;
Każde się krząta, ile sił starczy,
A matka wie dzie ładu gospodarczy.
Tak szlachcic czynszem, a kmiołek znojem
Karmi i poją dziedzica ziemi,
Żeby on za to czuwał nad niemi,
Jak matka pszczelna czuwa nad rojem;
Żeby miał litość dla naszej biedy,
Gdy się o litość poprosić zdarza,—
Żeby przynajmniej kiedy niekiedy
Choć dobrem słówkiem wspomógł nędzarza...
Lecz nasze pany to taka matka,
Co tylko miody ssie do ostatka!
A kiedy chciwość wstąpi mu w oczy,
Przed zimą wygna swój rój roboczy.
Więc nasi starcy, poczciwe dusze,
Przyszli do zamku w dobrej otusze,
W dobrej otusze weszli do sali
I za kolana hrabię ściskali.
A gdy się z płaczem boleść przekłada,
Gdy proszą wesprzeć ich biedne siły,

Przerwał im mowę ptaszek nielada,
Pański służebnik, z Niemiec przybyły;
Zwał się *Agronom* (Bóg wiedzieć raczy,
Czy to nazwisko, czy urząd znaczy).

Rzekł do hrabiego:—«O! w tej Podkowie

«Widziałem, jadąc, wyborne zboże;

«Kiedy nie płacą szlachta panowie,

«Wygnawszy szlachtę, folwark założę.»

— «Zgadzam się na to—odpowie hrabia—

«Piękna posiadłość z tego się skleii...

«Wypędzić szlachtę, wszak grunt obrabia

«Bez żadnych nadań i przywilei.

«Wypędzić szlachtę! Aspan w tym względzie

«Trafileś całkiem po mojej chęci;

«Przynajmniej nadal szkody nie będzie

«W lasach, na polach i sianozęci.

«Tak! idźcie z Bogiem, panowie moi,

«Wasze sąsiedztwo w gardle mi stoi!»

Szlachta jęknęła:—«Za cóż nam, za co

«Nie dają spocząć w ojców mogile?

«Tu każdy zagon spulchniło pracą,

«Oblało potem pokoleń tyle!

«Wszak my i w wojnie, wszak my i doma

«Biegli na każde pańskie skinienie,

«Wierność szlachecka była wiadoma

«Od pokolenia na pokolenie!

«Niech naszych przodków poświadczą kości

«I te portrety przodków waszmości.

«Cofnij się, hrabio, w swoim zamiarze,
«Nie daj się uwieść namową zdradną,
«Bo za nieludzkosć Pan Bóg pokarze,
«Bo ci lzy nasze na głowę spadną!» —

Tak uroczyście, wznosząc ramiona,
Zawołał głośno najstarszy z grona.
Hrabia się gniewnie nasrożył za to,
A pan Agronom, co bliżej stoi,
Znieważył starca trzcina sękatą
I wygnał za drzwi z pańskich podwoi.

X.

I wypchnięto nas z gruntów rękami przemocy...
Zawitał święty Jerzy w sam dzień Wielkiejnocy,
Gdyśmy zdrowi i chorzy, i starzy, i mali
W kaplicy *Alleluja* radośnie śpiewali.
Któż z nas nie zna tej chwili obfitej rozkoszą,
Gdy z rzewnego wesela aż piersi się wznoszą,
Kiedy dzwony podają uroczyste hasło,
A jeszcze na cmentarzu ognisko nie zgasło?
Lud się ciśnie z kościoła, jak mrowie z mrowiska,
Wszyscy się pozdrawiają, brat brata uściska,
Wszyscy serca z sercami, rękę splekli z ręką,
A skowronek drze piersi radosną piosenką;
Wiatr cię nawet świątecznym uściskiem ogarnie,
Serce ani poczuwa, że idą męczarnie.

Rankiem było na niebie i w sercach różowo,
Wieczorem czarne chmury zwisły nad Podkową:
Oto groźni spojrzeniem a strojem wytworni,
Konno leca pod kościół pacholki dworni.

Na czele pan Agronom. Ten z karty nam czyta,
Że dzisiaj święty Jerzy i z dzierżawy kwita,
Że grunt nasz już zajęty we dworskim obszarze,
A pan hrabia nam dzisiaj precz wyruszyć każe.
Szlachta gwarno zawrzała: «Krzywda i sromota!»
Lecz hałastra: *Precz!* krzyczy i kijmi nas grzmota,
Straszy końmi niewiasty i obala dzieci.
Jęk, płacz, jakby w dzień sądu, pod niebiosaleci,
Miesza się z echem dzwonu, ściele się po ziemi;
Starzy zaleli oczy łzami gorącemi,
Oczy żarem błysnęły — a stara i śmiała
Krew szlachecka ukropem w sercach zakipiała.
Mój ojciec siwą czapkę nacisnął u czoła:
— «Bij, kto pocziw!» — grzmotliwie do swoich zawoła.
I wnet tłumią się w ciżbę blizcy i dalecy,
Starcy ujęli kije, a szczudła kalecy,
I zakipiał bój wściekły; ale trudna rada —
Niemiec uciekł i wrócił, z nim chłopów gromada.
Rzucili się na chaty służalcy zuchwali,
Brzękły okna, sprzęt chatni na dworzec się wali,
Wyganiają dobytek, pastwią się siepacze,
Trzoda ryczy, dzwon jęczy, ciżba niewiast płacze...
Trudno pokonać siłę — więc starzy dokoła
Zbierają się i radzą. Jeden z nich zawoła:
— «Oj! piersiami nie przeprzeć, kędy woda płynie!
«Sądzono nam na starość iść po żebranie,
«Idźmy, ładujmy wozy i zabierzmy dzieci;
«Nie nad samą Podkową słońce Boże świeci.
«Na ziemi dobrzy ludzie przygarną nam głowy,
«Na niebiesiech jest Pan Bóg i grzmot piorunowy.

«Oj, te odwieczne grunta, te zielone pasze,
«Kaplica naszych ojców i te domy nasze!
«Tutaj serce przyrosło... ależ w czarnej doli
«Na co wróg ma się cieszyć, że nas serce boli?
«Na złość sercu, po męsku, ot tak, w jednej chwili,
«Niech i śladu nie będzie, żeśmy tutaj żyli!»

Starzec otarł swe oczy roziskrzzone śmieie,
Wbiegł na cmentarz, gdzie ogień tlał jeszcze w popiele,
Rozdmuchał czarną głównię i silnym zamachem
Rzucił ją na kaplicę ze słomianym dachem —
A ciżba przerażona jeno patrzy zdala,
A starzec wybiegł z ogniem i strzechy zapala.
Wiatr się wzdyma, zahuczał, skręca się nad jarem,
Ogień dymi się, czai i buchnął pożarem.
Trzeszczą belki i krokwie pod słupem ogniska,
Chałupa po chałupie w głównie się rozpryska,
Nikt pożaru nie gasi — bo nasza gromada
Krząta się koło wozów i tłumoki składa,
I ucieka z pożaru — a dworna czereda
Nie troszczy się o pożar, bo mu rady nie da.
I ogień coraz słabszy, coraz niżej błyska,
Sterczą kominy z cegieł i stos popieliska,
Sterczą zwęglone drzewa, i jeno do góry
Wspina się kolumnami dym czarny i bury,
I jeno czarny obłok, jak chusta grobowa,
Rozciąga się nad miejscem, gdzie stała *Podkowa*.

XI.

A mieszkańcy *Podkowy*, za lasem daleko,
Pan Bóg wie dokąd się wleką —

Dym rodzinnego zgłiszcza rozciąga się torem
Za ich sierocym taborem
I głowę ściska bolem i przegryza oczy,
Aż łzę z pod serca wytłoczy.
Trzody ryczą, a wozy, obarczone srodze,
Skrzypią po kleistej drodze.
Mąż smutnie zwiesił głowę, a niewiasta kwili,
Żeśmy zły pory dożyli.
Gdzie się biedni przytulim? oto noc się zbliża...
Chyba pod ramiona krzyża,
Który stoi w równinie i trochę wesela
Biednemu sercu udziela.—
Zatrzymaliśmy wozy, i przed krzyżem z drewna
Kłękła gromadka niepewna,
I piosnkę *Alleluja* w cześć Wielkiej niedzieli
Wszyscyśmy sercem huknęli.
Och! tę samą piosenkę jeszcze dzisiaj rano
W naszej kaplicy śpiewano!
Któżby wtedy powiedział, że w wieczór zapłaczem
Nad naszym życiem tułaczem?
Że domy i kaplica, i wspomnień tak wiele
Zginą w pożarnym popiele?...
Lunał deszczyk wiosenny—jego święta władza
Zbolałe serca ochładza,
I słońce się przedarło z za obłocznej ściany,
Świat jakby złotem oblany, —
Krzyż zabłysnął, i świętem miłosierdziem płonie
Chrystus w cierniowej koronie!
A nadzieja na każdej zjawiała się twarzy,
Że Pan Bóg wesprze nędzarzy.

Zmówiliśmy pacierze i, siadłszy w oddali,
Chleb wielkanocny łamali,
I spożyli baranka na ucztę ostatnią,
I pożegnali się bratnio.
Cztery drogi rozstajne schodzą się przy krzyżu —
Jeden miał krewnych w pobliżu,
Drugi miał nieco groszy, więc ruszył na wzwiady
Gdzieindziej szukać posady,
Trzeci strzelał bez pudła, więc przy jakim dworze
Myśliwcem zrobią go może...
Inny z nabożną książką kędyś przy plebanie
Może dzwonnikiem zostanie
I będzie uczył dzieci... Tak radząc się w tłumie,
Każdy przypomniał co umie.
I poszli w cztery strony Podkowanie biedni
Pracować na chleb powszedni.
Tylko starzec bezdzienny, co w ciężkiej chorobie
Oślepnął na oczy obie,
I młodzian, w bitwie lipskiej porąbany srodze,
Siedli pod krzyżem przy drodze,
Czekając dobrych ludzi, którzy, idąc drogą,
Zebraków chlebem wspomogą.

XII.

Hrabia z dwornemi złączył nasze pole
I gospodarzy jako tylko może.
Czasem i piękne udało się zboże,
Lecz z niego nie miał korzyści w stodole;

Bo jakaś klątwa, czy boża niełaska,
Nie da mu z cudzej pożytkować pracy:
Jednego roku grad kłosy potrzaska,
Drugiego roku podgryzą robacy;
Czasem już żniwo i do sterty zwali,
To grzmotnie piorun i stertę zapali.
I bujno łąki zarastają nasze,
Lecz deszcz ich kosić i zebrać nie dawa;
Hrabia je kazał obrócić na paszę,
Lecz jadowita znalazła się trawa.
Gdzie były chaty, gdzie miejsca cmentarne,
Lęgną się węże i gadziny czarne.
Sumienie przecię skruszyło dziedzica,
Zrozumiał przecię, że to Niebios plaga:
Na starem miejscu, gdzie stała kaplica,
Zmurował kościół — i to nie pomaga.
Przypatrzył się jeno tym gruzom kościoła:
Tu grom niebieski powyszczerbiał mury,
Na dachu krokwie niepokryte zgoła,
A tylko w drzewie dzwonek sygnatury;
Kiedy się wichur rozgrywała po błoni,
Dzwon się kołysze i ponuro dzwoni.

Tak gdy Podkowa przyszła ku zagubie,
Boskie przeklęstwo ściga ją okropnie —
Biada, gdy bydło tu trawy uskubie,
Biada człekowi, co tu wody żłopnie!
Gdy kto nieświadom zbłądzi w to bezdroże,
Musi przyplacić lub życiem, lub zdrowiem.
I hrabia uznał dopuszczenie boże,
Kazał to miejsce zostawić pustkowiem,

Zaorać drogę i posadzić czleka,
By tędy stopa nie przeszła niczyja;
I lud tutejszy trwożliwie ucieka,
Przychodzień miejsce zakłète omija,
I nasza stara podkowieńska niwa
Dziś *Uroczyskiem Pomstą* się nazywa.

XIII.

Póki szlachta z zaścianków, święte przodki moje,
Byli panom potrzebni na sejmy i boje,
Głaskali nas, poili w uprzejmej postaci,
I nosiliśmy imię: miłościwych braci.
Minęły stare czasy, a wśród różnej zmiany,
I braterstwo, i miłość zapomniały pany.
Czytasz z pańskich postępków i na pańskiej twarzy
Pogardę i szyderstwo z herbowych nędzarzy.
Staroświeckiego szczęścia nieznaczno ni śladu.
Oj panisko! złe lata!...

PODRÓŻNY.

Daj pokój, mój dziadu!

Wy będziecie na świecie potrzebni na nowo,
Nie na sejmik z pałaszem, lecz z piórem, lecz z głową.
Świat — to szerokie pole; pełno na nim chleba;
Tylko uczyć się trzeba i pracować trzeba,
Wydobywać hart duszy, co śpi w poniewierce,
A herbem szlachetności wypiętnować serce..

Bywało, nasza szlachta, czy w wojennej chwili,
Czy rozprawia na sejmie, czy puhar wychyli,

Znał ją świat i podziwiał potęgę olbrzyma.
Dzisiaj, gdy wojen, sejmów i puharów niema,
Niech nasz umysł u świata na podziw zasłuży.
Bądź zdrow, panie Podkowa!

ŻEBRAK.

Szczęśliwej podróży



ILLUMINACYA.

Wspomnienie z deszczu.

GAWĘDA LUDOWA.



I.

Nastały nieskończone jesienne wieczory,
Natura drzemie!
Pochmurniały niebiosy, i deszcz lunął spory
Na suchą ziemię.

Po wilgotnej przestrzeni grzechotka pocztowa
Jęczała płaczem.
Mnie z dumkami obiegła tęsknota grobowa,
Pan Bóg wie za czem!

Jak ten wietrzyk jesienny, co szumi na drzewie,
To w polu krąży,

Tak i myśl rozrzewniona sama siebie nie wie,
Zkąd, dokąd dąży?

O minionej przeszłości marzy się coś — marzy
Dumka głęboka;

I czy to kropla deszczu bryzgnęła po twarzy,
Czy to łza z oka?

Zawstydziłem się płaczu, zamknąłem powieki —
Było mi ciemno;

I obraz zapomniany, miniony, daleki
Staął przede mną.

II.

Dawno, dawno, przed laty, było, jak w tej chwili,
Noc, jesień, deszcze;

Tylko wtedy na sercu było jeszcze milej
I rańniej jeszcze.

U moich towarzyszków zamiar się ułożył
Jechać na łowy;

A choć zgola na strzelca Pan Bóg mnie nie stworzył,
Szedłem gotowy.

Ułożyłem do drogi bez długich wymówek
Wszystko co trzeba:

Wziąłem książkę i lulkę, papier i ołówek,
I kawał chleba.

I wesoło z chychotem puściwszy się w drogę,
Skracamy chwilę.

A do lasu, gdzie jedziem — przypomnieć nie mogę,
Dwie czy trzy mile.

Przemokliśmy do nitki, bo deszcz lał jak z kadzi,
Broń nasza moknie...

A jacyż my szczęśliwi, jak byliśmy radzi
Ze światła w oknie!

W chatce gościnny strzelec osuszał nam suknie,
Sprawił wieczerzę;

A gdy z myśliwskiej flaszy raz i drugi stuknie,
Gawędził szczerze.

Matka jego, pomimo starości i bólu,
Postać nielada,

O nieświezkim przepychu, o księciu Karolu,
Cuda nam gada.

Bo widziała naocznie wszystkie tamte dziwy
Jeszcze z dziecięcia,

Kiedy Stanisław August, król, pan miłościwy,
Odwiedzał księcia.

Na dzisiejsze wypadki prawie jak umarła,
Tamtemi pała,—

Jedną swoją powieścią serce mi rozdarła
I łzę wylała.

Powiastrka skromna, prosta z wątku i osnowy,
Z łez i goryczy;

Powtórzę ją przed wami jej własnymi słowy:
Słuchaj, kto życzy.

III.

— « Ot, co to! Książę Karol, można mówić śmiało,
Morze miał groszy!
I oko nie widziało, ucho nie słyszało
Takich rozkoszy.

Żyje stary Lachowicz, Szybicki Bazyli,
Bukowski szatny:
Ci niechaj wam powiedzą, jak w tę porę żyli,
Jak był człek płatny,

Co szło ptactwa na kuchnię, co miodu, co wina,
A co kapeli,
Jakie bywało książę dziwy rozpoczyna,
Gdy się podchmieli!

Ot, wiadomo z rozkoszy szaleją bogacze,
Szumią magnaci;
A za to biedny człowiek bolesno zapłacze,
Gorzko przypłaci.

IV.

Było to w drugim roku po mojem zameżciu
(Jak dzisiaj pomnę),
A człowiek, zawsze w biedzie i zawsze w nieszczęściu,
Wiódł życie skromne.

Z niedolą całe życie łamie się i łamie,
Płacze kryjomu...

Mąż mój służył za stróża tuż przy Słuckiej bramie,
W Arona domu.

W Nieświeżu, święty Karol to feta nielada,
Gości najwięcej;
Trzeciego, czy czwartego jakoś listopada,
Patron książęcy.

Mąż pojechał...—nie pomnę,—do Słucka, do Naczy...
Aha!... do Klecka;
A Pan Bóg miłosierny udzielić nam raczy
Pociechy z dziecka.

Urodził się syn pierwszy... kubek w kubek po nim,
Jak z nieba spada;
Ksiądz lektor bernardyński ochrzcił go Antonim,
Imieniem dziada.

Złoto — mówię — nie Anioł: te późniejsze dzieci,
Schowaj się z niemil
Dziś spróchniał — może nawet szkieletem nie świeci
W surowej ziemi.

A żyłby może dotąd... Dzień imienin księcia
Wszystko odmieni.

Przyszła ospa, zwyczajna choroba dziecięcia,
Jak raz w jesieni.

No, uważasz jegomość, ospęby nareszcie
Przebył swobodnie,

Ale na święty Karol nakazano w mieście
Palić pochodnie.

Zamek od świec jarzących jak latarnia gore,
Tam bieży tłuszcza;
A rektor jezuicki pod wieczorną porę
Fajerwerk puszcza.

Na grobli małą szpilkę przy kagańców mnóstwie
Znalazłbyś pono;
A w mieście, jak mówiłam, przy każdym domostwie
Pochodnie płoną.

Słupy przy każdym domu wkopano do ziemi,
Lampa na słupie,
I wszyscy stróże domów siłami wspólnemi
Pracują w kupie.

O biednaż moja głowa! mój słupek nie gore,
Spóźniłam trocha;
Musiałam zakolysać moje dziecko chore,
Mego pieszczocho.

A pamiętam, że była z ulicy na dole
Nasza siedziba.
Stuka tedy do okna z ratusza pacholę,
Aż pękła szyba.

— «Hejże, stróżu! pal światło, jak raczył zalecić
«Pan burmistrz miasta!»
Nie wiem, czy tulić dziecię, albo ogień świecić —
Biedna niewiasta!

Tam ogniów i tak dosyć, tu chora dziecina —
Boli mię duszał

Wtem przypada do izby, w plecy mię zacina
Sługa z ratusza.

Wybiegam na ulicę, rozpalam pochodnię,
Wiatr ją zadyma.

Patrzę w okno — tam dziecię drętwieje i chłodnie
Tuż przed oczyma.

I krzyczy w niebogłosy, czernieje, jak sadza,
Serce się kroi:
Chcesz pobiedz — ale tutaj ratuszowa władza
Nad karkiem stoi.

Rozdmuchywam pochodnię, a wicher ją gasi,
Mój słupek w ciemnie!
Pacholek grzmoce w plecy, a stróżowie nasi
Śmieją się ze mnie!

Ich kagańce goreją, a mój ciągle gaśnie!..
Ze łzą goryczy

Rozpaliłam kaganiec — a mój chłopak właśnie
Najmocniej krzyczy.

Wiatr przez rozbitą szybę zawiał do kołyski
Mojego zucha —
Śmierć z wiatrem naleciała, bierze go w uściski,
A matka słucha!..

Ale nie może śpieszyć: bo tu ogień gaśnie,
Pacholek strzeże...

O dwunastej godzinie dały z armat właśnie
Zamkowe wieże.

Tam wykrzyka wiwaty i chyli węgryzna

Gości gromadka,

A tu ogień rozpala, oplakując syna,

Zboląła matka.

Z zamku przywożą beczki trojniaku starego

I wina stare,

I sławetni mieszczanie aż pod ratusz biega

Wychylić czarę.

A kiedy wszyscy krzyczą: *Vivat mości książe,*

W sukcesów drodze!

Ja do mojej dzieciny, do kolebki dążę...

Trupa znachodzę!

A nazajutrz, gdy każdy imieniny księcia

Wspominał szczerze,

Ja niosłam na mogilnik trumienkę dziecięcia,

Mówiąc pacierze.

I długo, długo jeszcze dusza zapamięta

Te huki całe:

Żółtą, jak wosk, twarzyczkę i żółte rączeta,

W krzyku skostniałe.

Umarł... tak już sądzono — nie zaś z czyjej winy,

Broń, Panie Boże!

Ale huczne przed laty były imieniny

W nieświezkim dworze.



SZKOŁA WIEJSKA.

G A W Ę D A.

I.

Na końcu naszej wioski stała się nowina:
Starzy nie wiedzą, płakać czy śmiać się należy.
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie przykrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, — coś nakształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano:
Tu będzie szkoła!

II.

A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta;
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz klótni niewarta.

III.

Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu, jak miotełka, żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym,
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan... nie pan, bo nie hardy; chłop... nie chłop, bo
[czyta;
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta;
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmiby od rana gwarzył do wieczora.

Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy
I pędza do roboty mularzy i szklarzy;
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się:
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.

IV.

Pobudowano szkołę; ksiądz, w komżę ubrany,
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany,
Ponapędzano chłopców, z nimi starsi przyszl,
I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która niegdyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada;
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
«Przyjdź, Duchu Przenajświętszy! A ty, ucz się, działwo!»

V.

Ot i szkoła!... aż dziwo!... czysto, jak w miasteczku.
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
Dzieciom rozdali książki, tablice, seksterna.
Patrzym, co z tego będzie... Matko miłosierna!
A co z miasta przyjechał, ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.
Czyste skończenie świata! szaleją panowie!
Ksiądz pleban z katechizmem, daj mu, Boże, zdrowie!
A tamten różne rzeczy prawi na przemiany;
Czytają, piszą, krzyczą, aż trzęsą się ściany.
Szkoła jak targowisko o wieczornej dobie,
Kiedy to naród Boży podchmiela się sobie.

VI.

Ot! od czego rozpoczął swe światu przysługi
Tysiączny osiemsetny sześćdziesiąty drugi.
Wielki Twórco wszechświata! w jakież dalsze pole
Pchniesz jego dole?...

VII.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły:
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
Musiał za pilność pochwałę dostać,
Bo zuchowato najeżył postać
I tak sam w sobie odwagę nieci:
—«Mówił ksiądz pleban: «Chłopskie wy dzieci,
«Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę
«Rozwiemożnicie waszą potęgę.»
Jeśli to prawda!... mocny mój Boże,
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień, i w nocy, w wieczór i rano,
Aż zgłębię wszystko, co napisano;
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał, jak sztych, litery.
Bylebym zechciał, dotrwam w zamiarze,
I być wielmożnym sam sobie każę.
Lecz czemu będę na Bożym świecie?
Pozostać chłopem niemożna przecie;
Tylko nauka poszłaby marnie,
Te, co mój ojciec, znosząc męczarnie,

Wypasać woły nago i boso,
Chodzić z toporem, sochą i kosą,
Żyć łustą chleba czarną i twardą
I nierozumnych ludzi pogarda!
Tego niewarto...

VIII.

«Ot, tak na zmianę,

Ja ekonomem sobie zostanę;
Będę bił ludzi.. brzydko bić ludzi!
Będę za bracię znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano;
Będę miał dla nich i miód, i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach we żniwo:
Zapuszczę wasy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I tabakierkę ze srebrnej cyny,
I cztery konie, tłuste mierzyny,
I kupię brykę, i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I lajać męża przez cały dzionek.
Pan laje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie...
Nie... ekonomstwo dla mnie nie w porę,
Inne rzemiosło sobie obiorę.

IX.

«Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy.

Tacy wążacze! przy Pańskim grobie
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Mają kaftany robotą cudną,
Z płótna czy z blachy, odgadnąć trudno;
Lecz za to pióra, co zdobią głowę,
Jedne błękitne, drugie różowe.
Malarz im za to dał nogi krzywe,
Że mieli serca nielitościwe,
Pana Jezusa męczyli srodze,
Za to dziś stoją na jednej nodze.
Dobrze im za to!.. Będę malarzem,
I co umiemy, wtedy pokażem.
Nakupię pendzli i farb немало:
Czerwoną, żółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą.
Będzie kościółek, będą mogiły,
I organisty domek pochyły,
Gołąbki latać będą nad wieżą,
A brzózka wonią oddychać świeżą,
Rzeczka szczebiotać swoje paciorki,
I szumieć będą jodłowe wzgórki,
I będzie brzmiała z mojego płótna
Starej żebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundle, klóć się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby.
A nad tem wszystkim obłok poranny,
I widać postać Najświętszej Panny:
Pana Jezusa mając na łonie,
Ku naszej wiosce wyciąga dłonie,

I błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościółek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę, kwiatem pokrytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który zbliżka, albo zdaleka.

X.

«Bo tam z za góry ledwie widzianej
Z chorągiewkami jadą hułany.
Boże mój, Boże! co za koniska!
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska..
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej!
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w hułany!
Strój będzie złoty,—lecz mniejsza o to,
Tu mi nie idzie o jasne złoto;
Wąs będzie duży,—co mi wąsiska!
Lecz żołnierz, mówią, sławę pozyska;
Jak wróci z krzyżem ku swojej strzesie,
Toż to rodzicom radość przyniesie!
Ojciec się spłaczę, a matka powie:
—«Toż to jest syn mój! to moje zdrowie!»
Zbierze sąsiadki i gospodarzy,
I mnie uścisną dziadowie starzy.
Wartoż dać życie za taką chwilę!..
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamię,

Albo, co gorsza,—nie dopuść, Boże!—
Na bojuisku strach mię przemoże,
I szarpnę z placu gdzieś w gęste jodły,
A ludzie krzykną: «Podłyż ty, podły!» —
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,
A dla mnie hańba na całe życie!
Niel... choć w hułanach dobrze się zdawa,
I piękny mundur, i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy.

XI.

«Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem,—
A mnie tak pilno zostać człowiekiem!
Człowiekiem trudno .. trudno hułanem,
A więc... cóż robić? zostanę panem.
Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią;
Za to odpiszę wszystkie szarwarki
I dam każdemu wódki dwie czarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Każę nazwozić czerwonej cegły
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszyl obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chlopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Gdy matka pańskie młóciła zboże,
Niosąc jej obiad, byłem we dworze;
Jak dziś pamiętam, obiad był taki:
Wodna polewka i trzy ziemniaki.

Pan, co pilnował młocków w stodole,
Jakoś polubił biedne pachole,
Wziął mię za rękę, popieścił, gładził
I do pałacu swego prowadził.
Cóż tam za rozkosz! jak miękkie ławy!
Na każdej błyszczą tyftyk złotawy.
Jakie zwierciadła! coś jakby w niebie!
Zdaje się człowiek drażni sam siebie.
A na obrazie, co aż mur łamie,
Panny w kąpielu w złocistej ramie,
A jakie okna!... jaka podłoga!
Co to za przepych, na miłość Boga!...
Tak samo wszystko u mnie urządzi:
Będą i sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy,
I będę gadał po europejsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku,
Będę pić wino, co strzela korkiem,
Jeść marcypany z kwaśnym ogórkiem,
A jak mi matka w starej siermiędze
Przyjdzie żałośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
— «Daj mi, panoczku, daj zapomogę!»
Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z mego domu wypchnąć ich każę.

XII.

«Och, co ja bluźnię!... Jezusie Chryste!
Oddał ode mnie myśli nieczyste!

Matko i bracie! Dziwne narowy!
Myśl nieczłowiecza przysła do głowy,
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada;
Jam grzech mój ciężki, pogardę z wami,
Gotów oplakać krwawemi łzami,
Niech równiennicy a swawolnicy
Błotem obrzuca mnie na ulicy!
Na tę myśl ciężką lichu mnie wniosło...
Ej, grzeszne, grzeszne, dumne rzemiosło!
Jeszczeby w piekle śpiewać wśród płaczu
Pieśń o Łazarzu i o bogaczu...
I przez nauki wzięte korzystnie,
Toż to się silnie bracie uściśnie!
Toż to nakupię elementarzy,
Toż mnie uściskiem pleban obdarzy!
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecz: «Mój mały, *widać, żeś człowiek!*
«Idź uczłowieczać rodzinną wioskę!
«Idź gładko orać skibę ojcowską!
«Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
«Ze starą matką sadzić buraki,
«A wśród buraków wrzuć jej nieznaczenie
«Nasienie słońca, co rodzić zacznie.
«Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha:
«Idź w Imię Ojca, Syna i Ducha!»
«Otóż polecę, toż będą radził
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siał je będę na naszej niwie,
Pan Bóg nie Rymsza, wzrosną szczęśliwie!

Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosa aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości
Nakarmi chlebem aż do sytości!
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
S płacze się ojciec, s płacze się matka;
Taka łza w sercu perłą powraca...
Toż moja książka!... Toż moja praca!

«Chciało mnie zrobić zachcenie wieszcz
Panem, hulanem i czymś tam jeszcze;
Ja, choć bić będę głowę o ścianę,
Chłopem zostanę!»



DYFFERENCYA.

GAWĘDA ZAŚCIANKOWA.

I.

Starzy szlachta tam pod miedzą
Na naradzie ważnej siedzą,
A w okół młodzież wrząca
Tysiąc gniewnych słów wytrąca,—
Lud się na dwie strony dzieli,
Błyszczą ostrza karabeli.

Pan komornik z sznurem stawa,
Woźny wznosi papier w górę,

Słowem, jakaś tu rozprawa,
I *de hajda*, i *de jure*.
At, mospanie, któż i kiedy
Przywileje szlachty zaćmi?
To jest zatarg między braćmi
Przy podziale swojej schedy.
A u szlachty takie chucie:
Że gdzie sprawa, tam i wrzawa,
A gdzie wrzawa, tam i bitwa,
Potem kończą na statucie,
Potem kielich i modlitwa.
Szlachcic pocziw — bo ma duszę,
A wrzaskliwy — bo szlachetny,
Urodzony — nie sławetny,
I nie straszne mu ratusze!
Proces w sądzie -- to nie boli,
A zabawka niezła wcale;
Więc brat z bratem przy podziale
Zabijacko się warcholi.

Ich się ojcu niegdyś szczęści:
Dość zostawił dla nich mienia,
Co dziś dzielą na dwie części,
Wedle Boga i sumienia.
Dziela słusznie, jak wystarczy,
I grosiwo, i spiżarnię,
I oborę, i owczarnię,
I nabytek gospodarczy.
Potem, z obu stron namowy,
Pan komornik przez zagony

Ciągnie sznurem na dwie strony
I wydziela dwie połowy.

Zatknął wiechę, stojną w liście,
Wsunął cyrkiel za popręgę
I zawołał zamaszyście:

— «No, skończyliśmy mitręgę!

Waść, sądowy *generale*,

Mości strony i starszyzna!

Niech mi teraz każdy przyzna,

Żem wydzielił doskonale.

Ot jak z boru do sosenki

Idzie ścianką ta drożyna,

Stefanowe z prawej ręki,

A co z lewej — to Marcina,

A zaś młynek i zatoka

Służą obu jednostajnie.

Równe schedy, jak dwa oka,

Nawet pręta nikt nie stracił;

Mierzę słusznie, nieprzedajnie,

Bo mię żaden nie zapłacił,

Nie skaptował, nie przyodziął, —

Ot i sprawa i rozprawa!

Pytam trzykroć wedle prawa:

Czyli zgoda na mój podział?»

Stefan krzyknął: — «Nie masz zgody!

Bo mi krzywda w oczy kole:

U mnie piasek — a tu pole,

Że choć zaraz siej ogrody!

Morg pod lasem... tak daleko ...
Co ja zrobię z tym kawalkiem?
Wezmę raczej morg nad rzeką
I zatoka do mnie całkiem!... «

— «O!! zatoka za głęboka!—
Krzyknął Marcin. — Panie bracie!
Wcześniej siatkę zapuszczacie,
Nie dam ryby ani oka!
Morg mój, mości dobrodzieje,
Co nad rzeczką, tam pod drogą.
Nie pytając tu nikogo,
Sam zaorzę i zasieję.
Bo pomiarem... «

— «Co mi pomiar?
Kto się krzywdzić mię ośmieli,
W klindze mojej karabeli
Słusznej kary znajdzie domiar.» —
— «Panie woźny!... «

— «Woźny płazem!
A mierniczy — w łeb żelazem!
Niema pana dla Stefana —
Zaraz wszystkich ztąd wypłoszę!
Morg nad rzeką i toń rybna
Moje!... «

— «Moje, rzecz niechybna!
— «Ja zasieję!»
— «A ja skoszę!» —
— «No, bratuniu, to za śmiało!
A czy znasz ty moją rękę?»

— «A czy znasz ty, świszczypało,
Moją szablę damascenkę?»

— «Za mną szlachta!»

— «Bij, kto sprzyja!!

Szlachta w dwie się strony ściska,
Walka w zabój. . . aż krew tryska . .
Pan komornik wiechą zwija,
Woźny pozwem broni duszę;
Papier, wiecha w zawierusze
Popękały się od kija.

Aż skrwawiona, zapocona,
Porąbana, zadyszana,
Ta i owa padła strona
Wypoczywać na murawie;
Jeszcze w jęku i we wrzawie
Słychać głosy: — «To Stefana...»

— «To Marcina .. morg przy drodze...»

— «Morg nad rzeką i zatoka ..»

— «I okopię, i ogrodzę. . . »

— «Nie doczekasz! nie pozwolę!

Będę bronił moje pole,
Jak źrenicę mego oka!»

— «Nie o pole, nie o szkodę,

Lecz tu idzie o bezprawie.»

— «A ja mówię i dowiodę,
Że na swoim rzecz postawię.»

— «Ciężko skarzę upór bratni! . . .»

— «Wara leżć mi w moją grzędę! . . . »

— «Krwia słuszności bronić będę,
Do kropelki, do ostatniejl»

II.

— «Cyt mi, *szerszenie!* tfu do katal!—
Huknął stary pan Ambroży.—
Taki rankor brat na brata!
Mospanowie, to gniew boży
Bić się z bratem jakby z wrogiem!
Jakiem okiem, jakim czołem
Staniesz jutro przed kościołem,
A pojutrze i przed Bogiem?
Uściśnijcie mi się szczerze,
I wypijmy pojednanie,—
Jutro spowiedź!...»

— «O, mospaniel
A zatokę kto zabierze?
— «Nie chcę morga, co pod lasem!»
— «Nie dam morga, co przy drodze!»
— «No, uciszcie się z hałasem,
Ja wam całą rzecz pogodzę.»
— «A to jaki śmiałek groźny
Medyacyę swoją wnosi?!»
— «Sza, panowie! — krzyknął woźny —
Pan Ambroży o głos prosi!»
Więc Ambroży siadł na miedzy,
Brzęknął czarą po butelce:
— «Bracia szlachta i koledzy,
Mościwi wielce a wielce!
Za zatokę i za pole
Będzie zawsze wrzawa sroga,
Będą skargi i zatargi,

I procesa, i swawole,
I obraza Pana Boga.
Bracia zniszczą się ze szczętem
Przez rankory i rozpusty;
Będą dzieciom testamentem
Przekazywać proces pusty;
Na braterskich karkach — szpetnie
Czynić próbę szabel hartu,
Mazać herb swój nieszlachetnie
I oddawać duszę czartu!

«By więc zetrzeć plamę z czoła,
Zmazać karę nieochybną,
Radzę oddać do kościoła
Oba morgi i toń rybną.
Za tę skruchę Pan Bóg jużci
Grzech dzisiejszy wam odpuści
I ofiarę przyjmie wdzięcznie
Za zgładzenie tych bezpraw, —
A ksiądz proboszcz comiesięcznie
Za was świętą mszę odprawi.
Bóg okryje swem ramieniem
Tarczę herbu starożytną,
Wasze domy z pokoleniem
Pomyślnością wam zakwitną...
No! czy zgoda?»

— «Mądra rada —

Już inaczej nie wypada;
Oba morgi niepodzielne
I zatoka koło młyna
Ni Stefana, ni Marcina,

Ale odtąd już — kościelne.
Niech pan woźny tu posiedzi
I dokument spisze żywo —
Jutro idziem do spowiedzi
Z tą pobożną donatywą.»

— «A salarya?»

— To nie minie,
To proboszcza rzecz, nie nasza, —
A za cięcia od palasza
Damyć żyta po ośminie»
— «Zgoda! — krzyknął woźny żwawie —
Teraz kielich do roboty!»

Dictum, factum, i po sprawie.
Wykonano co do joty.

III,

Dwie już setki lat się zaczęła,
Jak braterskie kości spolem :
Gniją w ziemi pod kościołem,
A mogiły aniznaczno.
Ale ród ich gęsty w Litwie,
I poczcniwy, i zamożny;
Bo co miesiąc głos pobożny
W mszalnej wzmieniał ich modlitwie.
A na morgach w pszennym plonie
Pleban piękne żał owoce,
Stawił kopy na zagonie,
Łowił rybkę na zatoce...
Teraz, słyszę, inne dzieje:
Ktoś już inny morgi trzyma,

I pszeniczkę inny sieje,
I za zmarłych mszy już niema.
Słyszał nawet dzwonnik głuchy,
Z pod grobowca u parkana,
Jakieś krzyki i rozruchy —
Spór Marcina i Stefana.



TRZY GWIAZDKI.

GAWĘDA GMINNA.



I.

— «Obdarzcie dziada, co pod waszą chatą!
Dajcie mi chleba, o więcej nie pytam;
Bóg was nagrodzi, a ja biedny za to
Z mojej książeczki rozdział wam przeczytam.»

— O! toś uczony, gdy nosisz księgi;
Widać, żeś szlachcic, a więc nie dziwy;
Widać po twarzy, żeś zuch był tęgi,
Widać po oczach, żeś nieszczęśliwy.

— «At! litościwy czleku, kiedyś to inaczej
Było ze mną — i szczęście, i postawa hoża;
Dziś za młodość, za szczęście — ot ten kij żebraczy!
Cóż robić? chodzę z kijem, dziej się wola boża!
Myślisz, widzę, że noszę książeczki światowe?
Nie, to Ewangeliczka, słowa Chrystusowe!

W niej rozdział po rozdziale przebiegam kolejną...
Są mędrcy, co światowe księgi rozumieją.
Widziałem ja tych mędrców własnymi oczyma:
Świecą, jak zimny kamień, przysypany dziarstwą.
Ich księgi... mocny Boże!... ach czegoż tam niema? —
Cha, cha, cha! tylko prawdy ani na lekarstwo!
Nad nimi mędrcy łamią swe uczone głowy,
Nie wierząc w innych ludzi doświadczenie stare,
A chcąc wszystko wyłożyć przez rozum książkowy,
Tylko serca swe suszą, tylko tracą wiarę.

Ejże! źle im bez serca! — Ich oschła nauka
Sama im wykazuje swą lichotę biedną;
Czuje mędrzec ból w sercu i w głowę swą puka, —
Ej, panie! głowa... serce... to nie wszystko jedno!

II.

«Ot, ja powiem o sobie: — Służyłem, mospanie,
W zacnym domu — tak sobie, służyłem z nałogu,
Choć była własna chatka, a w niej, dzięki Bogu,
Na szlacheckie starcowi wyżywienie stanie.
Miałem wtedy trzech synów i sam byłem krzepki;
Bywało, my we czterech choć czartu podążym,
Najmłodszy z nich chłopczyka już miał u kolebki,
Najstarszy był zaścianku naszego chorążym.
Przyszła wojna ze Szwedem... krótka szlachcie rada,
Już nie siedzieć za piecem, nie pilnować pola;
Przyszła więc od hetmana — wola czy nie wola,
Siadaj na koń, kto szlachcic i kto szablą włada.

— «Ot jedźcie, synki!» rzekłem, wywiodłem za wrota
I pobłogosławiłem. Padli na kolana,
Potem siedli na konie i ruszyli kłusa.
Zapłakałem ukradkiem, żem stary sierota,
Zmówiłem pięć pacierzy do Pana Jezusa
I poszedłem na służbę do dawnego pana.

III.

«Mój pan, młodszy odemnie, ciągle czytał księgi
I miał głowę nabitą mądrością niemiecką,
Ale umiał szanować stare niedolegi.
Ja mu, bywało, bajam, on słucha jak dziecko.
Słucha, lecz mówi czasem: «Ja temu nie wierzę —
«Bo w księgach nie tak stoi.» — Ot, dziwak uczony!
Pomawiali go ludzie, że trzymał z masony,
Lecz to fałsz: sam widziałem, jak mówił pacierze.

Dobrze mi było: dość chleba i czasu,
Niekiedy panu stare rzeczy plotę,
Czasem kuflową dzieliłam ochotę,
Najczęściej idę ze strzelbą do lasu.
Bywało sobie w wieczornej godzinie,
Mówiąc koronkę, usiadam na dworze,
Liczę Zdrowaśki, patrząc na zorzę, —
Ni ztąd ni zowąd i łza mi popłynie!

A była u mnie ta przywyczka marna,
Żem trzy gwiazdeczki polubił z zapalem;
Malutkie gwiazdki, jak... makowe ziarna,
Ja tylko jeden znaleźć je umiałem.

Jam je odróżniał z innych gwiazdek grona,
Drżałem, gdy która niedość jasno świeci,
Ponadawalem im synów imiona,
Wierząc, że one — to gwiazdki mych dzieci.
Tak się to w serce wrosło, wkorzeniło,
Że gdy pochmurna albo mglista pora,
I moich gwiazdek nie ujrzę z wieczora,—
To coś mi w duszy tęskno i niemiło.

IV.

«Pan był tęgi myśliwy. Raz — było to w maju,
Het przed świtem,— ze strzelbą poszliśmy do gaju
Bić cietrzewie na tokach. Przybyliśmy wcześniej,
Siedliśmy w swoich budach, — wszystko było we śnie.
Czasem chruściel chrapliwy ozwie się gdzie z błota,
Czasem wietrzyk zawieje, słowik zaszczebiota.

Tak cicho! ani szasnie... tak pięknie w tej dobie,
Żem niewolnie znak krzyża położył na sobie
I począł mówić pacierz strzelisty, głęboki.
Spuściłem kurek strzelby na pierwszym odwodzie
I, czekając cietrzewi, patrzałem w obłoki,
Jak zawsze na trzy gwiazdki — te były na wschodzie.
Igrały ze mną starym: błysną, to przygasną,
To zapłyną obłokiem, to zaświecą jasno,
Istne dziatki swawolne...

Ot, razem coś mignie,
Coś jak sznurek ognisty po niebie przeleci.

Spojrzałem... dreszcz mnie przeszedł.. i krew w żyłach

[stygnie —

Spadły trzy gwiazdki moje... gwiazdki moich dzieci!...

Począłem płakać głośno, sam nie wiedząc za czem,

Począłem *Anioł Pański* — aż pan krzyknął w gniewie:

«Czego tam, Janie, chłupiesz? pospłaszasz cietrzewie,

«Z twojej łaski zwierzyny w oczy nie obaczym!»

— Ej, panie! — powiedziałem — mnie nie do zwie-

[rzyny;

Ot się trzy małe gwiazdki stoczyły z niebiosów.—

— «Cóż z tego?»—Ach! te gwiazdy—to były me syny

To gwiazdy moich synów, światełka ich losów! —

— «Zkądże to wzięłeś?»—Hola! wszakże mówią ludzie,

Że każdy człek na niebie ma gwiazdeczkę własną;

Że jej bystra źreniczka ogląda zdaleka

strzela promykami tak ciemno lub jasno,

jak jasna albo ciemna dola jej człowieka.

Te gwiazdy tych, co idą szczęśliwą koleją,

świecą iskrą na sinem niebie płomienieją,

jak ta, co pan widzisz... co się wlewo żarzy...

te gwiazdy drobniutkie — to gwiazdy nędzarzy,

leją... at! jak dogarek lampy na pogrzebie.

I mówią, że gdy człowiek snem śmiertelnym zaśnie,

Wtenczas i gwiazda jego stoczy się po niebie,

Błyśnie wężykiem... i zgaśnie.

Oj, dożyłem na starość! — Widziałem w tej chwili,

Jak gwiazdy moich dzieci zgasły na błękicie.

Ejże, biedne me syny! — już mi nie wrócicie...

Gdzieś was na cudzej ziemi wrogowie zabili!...

V.

Pan począł śmiać się ze mnie: «Ech! jesteś dziwakiem!
«Wstydź się wierzyć w te duby, co plecie prostota!
«Człek swoim, gwiazda swoim postępuje szlakiem
«I losami ludzkiemi nic się nie kłopotą.
«Kaźda gwiazda na niebie, co ją wzrok doścignie,
«To planeta lub słońce, przysłonię mgiełką.
«A to, co widzisz czasem, jak przeleci, mignie,
«To po prostu meteor, lub błędne światelko,
«To fosfor, albo gazy. Próżno głupcy bredzą:
«Gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą »

I począł dalej mówić, tłómaczyć na nowo,
Po mądrymu, z łacińska, fizykę książkową.
Chciałem wierzyć i umysł pocieszyć stroskany;
Lecz gdzie tam! Iza jak na złość po oczach się kręci.
Mądre słowa, to prawda — lecz, jak groch do ściany,
Nie przyłgnęły do serca, ani do pamięci.

Smutnie kiwnąłem głową i westchnąłem zcicha.
Wtem szast!! cietrzew przyleciał tak blisko, aż miło...
Złożyłem się — palnąłem — ej, pudło u licha!
Oko łzami zabiegło i cel prześlepiło!...

VI.

«Upłynął miesiąc — drugi... Aż oto —
(Czyż mi tej chwili dożyć potrzeba?) —
Wyszło na prawdę, co ludzie plotą
O upadaniu gwiazd z nieba!...
Do pana przysły listy z obozu,

On mi o synach wieści udziela:
Że raz na czatach wszyscy trzej razem
Wpadli w zasadzkę nieprzyjaciela
I poginęli kulą, żelazem...

A poginęli jak raz w tej porze,
Kiedyśmy z rana byli na tokach,
Gdym widział gwiazdy zgasłe w obłokach,
A pan rozprawiał o meteorze!!...

VII.

«Ot, zapłakałem, potrząsłem czołem,
Oddałem chatę moją rodzinie,
Ewangeliczkę i torbę wziąłem,
I ruszam sobie po żebraniu.
Z wioski do wioski, z dwora do dwora,
Wędruję sobie w słotę i spiekę;
A gdy uczuję, że umrzeć pora,
W rodzinne strony znów się powlekę.

VIII.

«Lecz już was nudzi, co stary gada,
Więc Ewangelię czytać wam będę;
A wy, czem łaska, obdarzcie dziada
I za czytanie, i za gawędę, —
Grosz na tabakę, suchar dziadowski,
Dość tego na mój zapas podróżny.» —

Starzec przeczytał, dostał jałmużny
I poszedł z Bogiem do drugiej wioski.



KRADZIONE.

Przypowieść szlachecka.

(PODSŁUCHANO).



W ręce aspana, panie Jakubiel!
Mówisz: *kradzione lepsze*, i chcesz tego dowieść;
Ja sobie rozmaite przypowieści lubię,
 Powiem aspanu przypowieść:
W samym końcu zaścianku, pilnując swej niwy,
 Żył sobie szlachcic pocziwy, —
A miał syna wyrostka z wąsem wyżej nosa.
Chłopiec dobre miał serce, ale w głowie zato
 Okropnie było pstrokato,
 Zwyczajnie jak u młokosa.
A tuż, mój mospaneńku, obok ich stodoły
 Ciągnął się wygon sąsiada,
 Na którym pasły się stada:
 Konie, owieczki i woły.
— «Czy wiecie co, tatulu?» (tak mówił raz młody)
 «Fraszki to — praca i cnota.
«U nas, panie, pocziwość, trudy, niewygody,
 «A w domu wieczna hołota.
Czy to Pan Bóg uważa, że ludziska giną?
 «Pocziwym nie da talarka,
«Dla jednego pomyślność odmierza ośminą,
 «Drugiemu liczy na ziarnka.

«Naprzykład, choćby u nas: ot idą zapusty,

«A w domu ni to, ni owo;»

«Hola! jakby to dobrze, by na czwartek tłusty

«Utuczyć pieczeń wołową!»

— «A z kądże weźmiesz wołu?»

— «Czy to wielka sztuka?

«Niby to dostać nie możemy!

«Chodzą woły sąsiada — po gardlisku nożem,

«Niech potem sąsiad poszuka.» —

— «Cóż to!» zawołał ojciec, «to kradzież wyraźnie,

«To jakaś sztuka zbójcka;

«A siódme przykazanie? a sumienie, błźnie,

«A nasza wiara szlachecka?...»

— «At, myśleć, co się godzi, a co się nie godzi!

«Za cóż my biedni i głodni?

«Nas jeden wół przeżywi przez kilka tygodni;

«Czy to po ludziach nie chodzi?» —

Na takie *argumentum* ojciec mruknął zcicha:

— «Cóż robić? szatan cię uczy;

«Ukradniem jutro wołu, lecz pomnij do licha,

«Nigdy kradzione nie tuczy!»

Wieczorem stary ojciec poszedł do sąsiada,
Cichaczem kupił wołu, napił się *horysza*;

Nazajutrz bierze syna, niby się podkrada,

I z wołem... het! do zacisza.

Zaraz nożem po gardle nieszczęsnego byka,

Rozćwiertowali w stodole,

I jak słowo powiedzieć, już u czynszownika
Wołowa pieczeń na stole.

— «Wiesz co teraz, mój synku? — odmierzym się
[w pasie:

«Zjadając mięsko tak cudnie,
«Będziem wiedzieć, mospanie, po niejakim czasie,

«Kto z nas utyje, kto schudnie» —
Zmierzyli się i każdy na swojej poprędze
Naznaczył kreskę czerwoną.

— «Co to gadać, tatulu! schudzeni przez nędzę,
«Teraz utuczym się pono!» —

Przez całe trzy tygodnie gody u szlachcica,
Codzień przysmaczek od wołu:
Dzisiaj rura do barszczu, jutro polędwica,
Pojutrze pieczeń u stołu.

A tu rozruch w zaścianku: sąsiad niby jęczy,
Niby to szuka wołu, niby ludzi zowie...
Syn dręczy się obawą, jak duch potępieńczy,
Już mu i jadło nie w głowie.
Czy kto skrzypnie we wrotach — on w nocy i we dnie
Marzy o przyjściu sąsiada;
W obiedzie... strach, zgryzota, co chwila poblednie,
A ojciec smaczno zajada.
Syn był młody i zdrowy, jak dębina krzepka,
Ojca wiek zniszczył i znoje;
Lecz kiedy zjedli wołu, syn wysechl jak szczepka,
A ojciec utył we dwoje.

- «A co, błaznie!» rzekł stary, «pamiętaj przysłowie,
«*Że male parta do czarta.*
«Ja zakupilem wołu, — toć mi szło na zdrowie,
«Ty, kradnąc, schudłeś na charta.» —

*

*

*

- A cóż, panie Jakubie, jak przypowieść zda się?
— «Moralna! sens na wierzchu, jakby gwiazda świeci.»
— Ja umiem jeszcze lepsze — a w swobodnym czasie
Więcej opowiem waszeci.



CZARNO I BIAŁO.

OBRAZEK.

Żyła sobie dewotka
Niedaleko od fary;
Miała pieska i kotka,
Obok sąsiad żył stary.
Była wielce z nich rada,
Bo i jakże inaczej?
Z kotka, z pieska, z sąsiada
Miała wiernych słuchaczy.
Czasem dojrzy jej oko
Wśród powieści i plotek,
Że usnęli głęboko
Sąsiad, piesek i kotek.

Lecz sąsiad, sztuka bita,
Zręcznie jej się wywinie,
Bo gdy czasem go spyta:

— «Prawdaż, panie Marcinie?»

To on, choć krzepko zaśnie,
Zawsze pokiwa głową
I mruknie w porę właśnie:

— «Tak... tak, pani Janowo!»

* * *

— «Uważałeś, jegomość?

Dziś assesor coś bladszy;
Musiał dostać wiadomość,
Że sąd ziemski źle patrzy...
Oj te ludzkie języki!

Gdyby zebrać je razem
I za nałóg ich dziki
Wszystkie uciąć żelazem!

Jabym mówić gotowa,
Ale prawdę, a skromnie;

Na co mi ta obmowa?
Co to należy do mnie?

Jan o sobie pamięta,
Ekonom ludzi bije,

Pisarz klaska w karcięta,
Wójt z organistą pije...

Bóg tam z nimi!.. Bóg z niemi!

Ja patrzę tylko siebie!

Każdy człowiek na ziemi

Nie to, co święty w niebie.

Myślmy o własnej winie,
Nie sądźmy zbyt surowo...
Prawdaż, panie Marcinie?»

— «Tak... tak, pani Janowo!»

* * *

— «U nas plotki, jak błoto,
Wszystkich mażą bezwzględnie;
Słuchaj tylko co plotą,
To aż ucho ci więdniesz!
Uważałeś?... naprawo...
Ktoś miał czepek w pół głowy...
Masz i plotkę ciekawą,
Bo już przedmiot gotowy!
Dobrzy sąsiedzi moi
Ogadali już może:
Że ta pani się stroi
Nie dla męża... broń Boże!
Że ma zalotny narów,
Że to na gachów siatka,
Że ktoś tam z za filarów
Patrzył na nią z ukradka;
Lecz to fałsze... potwarzel...
Ja widzę co niedziela:
On zawsze bywa w farze,
Lecz nie tam okiem strzela.
Może sądzisz po minie,
Że ja podrwiłam głowę?
Prawdaż, panie Marcinie?»

— «Tak... tak, pani Janowo!»

* * *

— «Już co zgadnę, to zgadnę!
Wierzę w domysłność moją;
A te plotki bezładne
Kością mi w gardle stoją!
Jam dosyć ich słyszała,
Lecz prawdy ni kropelki.
Naprzykład... suknia biała...
Niby to symbol wielki!
Niewinność... skromność... cnota...
Och! żeby nos im taki!
Śledziłam ją z za płota,—
Chłopcom dawała znaki!
A oczy tak ogniste,
A kibić wymuszona:
O Panie Jezu Chryste!
Niby to święta ona!
Znamy się na świętości...
Dzisiaj i ja sensatka...
Och! powiem jegomości,
Wróćcie mi młodsze latka!
Każda, co się nawinie,
Przede mną w kąt się schowa.
Prawdaż, panie Marcinie?»
— «Tak... tak, pani Janowa!»

* * *

— «Tylko się chwalić nie chcę,
Lecz miałam szczęścia trocha!
Kogo spojrzeniem złechcę,
To zaraz mię pokocha!

Rzuciłam płoche żarty,
Postrzegłam, jak te szpecą,
Rok... drugi... trzeci.. czwarty...
Jam spowaźniała nieco.
A młodzież?... gdzież ci młodzi?
Pierzchnął mój lud poddańczy!
Jeden dziś z kijkiem chodzi,
Drugi swe wnuki niańczy.
Zepsucie dziś na ziemi!
Dzisiejszy rój młodzieży
Za szesnastoletniemi,
Za wietrznicami bieży!
Pan Bóg wie czem zajęci,
Śmiechem pogardy płacą
Najlepsze nasze chęci:
Za cóż to, pytam, za co?
Bo młodość wkrótce minie,
Bo mi siwieje głowa...
Prawdaż, panie Marcinie?
— «Tak... tak, pani Janowa!»

* * *

— «Kłamstwo!... jesteś sam stary!
Przyjdą czasy odmienne!
Ja dam na mszę do fary,
Pościć będę nowennę
I ołtarzyk ponoszę;
Ujrysz waćpan dobrodziej,
Że wyposzczę, wyproszę
Więcej statku dla młodzi.

Mimo wszystkie zalety,
Nikt nie spojrzy na młodą,
A stateczne kobiety
Rej na świecie powiodą.
Chociaż się lata roni,
Choć mija wiek człowieczy,
Ale święty Antoni,
Patron zgubionych rzeczy,
On mi młodość odszuka,
Wróci rumieniec licom!
Będzie sztuka!... ot sztuka!
Na złość młodym wietrznicom!
Nie ich... a mnie jedynie
Szarpać będą obmową!
Prawdaż, panie Marcinie?»
— «Tak... tak, pani Janowo!»



MATYSEK.

G A W Ę D A.



Był Matysek chłop przed laty,
Jak drugiego nie znajdziecie,
I przystojny, i bogaty,
I szczęśliwy na tym świecie;
Był kochany, nie znał biedy,
Zazdrościli mu ludziska:
Nikt nie wierzył, aby kiedy
Przyszła kreska na Matyska.

Krasawica, cud-dziewoja,
Zakochała w nim się skrycie:
— «Mój Matyskul jestem twoja,
«Będę twoja całe życie!»
Lecz ktoś inny sypnął grosza
I wzajemność dziewczki zyska,
I Matysek wziął odkosza.
Przyszła kreska na Matyska.

— «Mój Matyskul nie dbaj o to,
«A miłosne rzuć zachody!
«Lepiej z nami użyj złoto:
«Pójdziem hulać do gospody!»
Tak go sąsiad cieszył w biedzie,
I całuje, i uściska.
— «Dobrze mówisz, mój sąsiedziel!
Przyszła kreska na Matyska.

Pił z rozpaczey dobę całą,
Na pociechę pół tygodnia,
Poił wszystkich, co się wlało,
I sąsiada, i przychodnia;
A gdy przyszło do zapłaty,
Toć ostatni grosz wyciska, —
Jak niepyszny szedł do chaty.
Przyszła kreska na Matyska.

I od tańca, i od trunku
Zachorował tejże doby;
Lekarz przybył do ratunku
I napędził trzy choroby.

A za recept i za leki
Wziął ze stajni dwa koniska
I odjechał w świat daleki.
Przyszła kreska na Matyska.

Więc przed śmiercią myśli sobie:
— «Niechże wspomną towarzysze!
«Ja testament dla nich zrobię
«I każdemu coś zapiszę.»

Ale w chacie nic nie było,
Prócz starego w progu psiska,—
Westchnął biedak całą siłą:
Przyszła kreska na Matyska.

Umarł tedy, jak ów święty,
Co tureckim ludzie zową,
A odzieży lichej szczęty
Położyli mu pod głowę.
A na pogrzeb nikt z sąsiadów
Nie popatrzał nawet zbliska,
Trumnę niosło czterech dziadów:
Przyszła kreska na Matyska.

Pod darniną, pod zieloną,
Zajął miejsce nieprzestronne;
Na pogrzebie nie dzwoniono,
Bo nie stało na podzwonne.
Przy kapliczce, tuż pod ścianą,
Jedlinowy krzyżyk błyska,
A na krzyżu napisano:
Przyszła kreska na Matyska.



POCZTYLION.

Gawęda gminna.



Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie
Wyglądasz jak jeniec w niewoli; —
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie
I powiedz, co ciebie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni krasne dziewczęta
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta,
Ażebyś był wesół jak wprzód.

— «O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie.
Niemilo na świecie, niemilo!
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie, —
Posłuchaj, co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszcze był młody,
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka
Wozilem pakiety i pany; —
Dostałem złotówkę, — o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt, i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem jak z równym i kwita;
I konie mię znały — jak gwizdnął, jak zaciął,
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieść pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode jejmoście,
O! wtedy pewniutka dwuzłotka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie, —
Mieszkała w wioseczce o milę;
Bywało, wracając, nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz w północnej coś porze,
Natychmiast się budzę, przychodzę, —
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

— «Powiesz sztafetę!» — Oj, лихо przywiodło! —
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się cwałem.

A tutaj wiatr świszczę, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże.
Dwa słupy wiorstowe mignęły przedemną,
Podjeżdżam pod trzeci — o Boże!

Wśród wichru poświstów, głos, z płaczem zmieszany,
W bok drogi gdzieś woła pomocy;

Myśl pierwsza: Pomogę! ktoś pewno zbłąkany
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia — wtem jakby mi, zda się,
Ktoś szepnął: «A tobież co po tem?»
«Ej, lepiej godzinę zyskawszy na czasie,
«Odwiedzić swą dziewczkę z powrotem »

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem.
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracalem o świcie — trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty:
Duch zamarł, a serce, szepcąc pokryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń parsknął -- zjeżyła się grzywa —
Na drodze, pod płachtą powiewną
Pod warstwą zamieci — kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białej jej szacie
I trupa wywlokłem na drogę,
Otarłem śnieg z lica... — To była... Ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę!... »



Spis rzeczy.

| | Stron. |
|-------------------------------------|--------|
| Życiorys | 5 |
| Lirnik wioskowy | 9 |
| To i dosyć | 12 |
| Co umiem nakreślić | 14 |
| Krzyże wioskowe | 15 |
| Do Boga | 19 |
| Niepiśmienny | 22 |
| Pogrzeb młodego rolnika | 24 |
| Sosna | 27 |
| Gawęda o bocianie | 30 |
| Niedziela | 31 |
| Zwierzyna | 41 |
| Melodye z domu obłąkanych | 43 |
| Korale | 48 |
| Kruk | 50 |
| Dola | 51 |
| Hanna | 52 |
| Dumka | 53 |
| Janko cmentarnik | 54 |
| Zaścianek Podkowa | 91 |
| Illuminacja | 116 |

| | |
|--------------------------|-----|
| Szkoła wiejska. | 124 |
| Dyfferencya | 133 |
| Trzy gwiazdki | 141 |
| Kradzionę | 148 |
| Czarno i białe | 151 |
| Matysek | 156 |
| Pocztylion | 159 |

